P 016684

Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

GEMMA CIVITATIS • PAX •

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI Warszawa 25 września 1955 r. Nr 38 (512)

Uniwersytet Gdański Biblioteka

CIV 9013

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

O POKOJOWYM WSPÓŁISTNIENIU

Berlin, w sierpniu 1955 r.

W ZACISZNEJ bocznej uliczce, niedaleko dworca Charlottenburg, w pobliżu Kurfürstendamm, ale już z dala od krzykliwego jej centralnego odcinka odbywały się przez dziesięć dni różnojęzyczne spotkania grona kilkudziesięciu osób. W niewielkiej salce skromnej willi dzień w dzień dyskutowali Niemcy, Francuzi, Holendrzy, Belgowie, no i my, Polacy.

Oczywiście nie można nazywać tych dziesięciodniowych obrad szumnym mianem „kongresu", ani nawet „zjazdu". Skromna ilość, coś około pięćdziesięciu katolików z różnych krajów, przeważnie młodych, wśród nich kilku księży dyskutowało w tych sprzyjających skupieniu warunkach, pod egidą PAX CHRISTI, o zagadnieniach moralnych, wynikających z postulatu pokojowego współżycia między narodami.

Należy bez wątpienia żałować, iż audytorium było tak wąskie. Zasługą bowiem PAX CHRISTI, inicjatora tego spotkania, było postawienie katolikom tematu, na który wszyscy się wprawdzie w teorii zgadzają, ale który, przyznać trzeba szczerze, w praktyce mało do tej pory znalazł w kołach katolickich prawdziwych popleczników. W istocie nie wystarczy pragnąć szczerze pokoju, trzeba jeszcze umieć go zrealizować w świecie pełnym sprzeczności i napięć. Czy działalność katolicka umiała rzeczywiście dostatecznie umacniać w swym kręgu pokojowe nastroje i pokojowe perspektywy?

Drugą zasługą PAX CHRISTI jest właśnie to, że wybrała sobie Berlin jako miejsce tego spotkania. Wybór ten zdecydował o charakterze dyskusji, opierając ją przede wszystkim na konfrontacji niemieckich poglądów na sprawę pokoju. W istocie dialog na tych spotkaniach prowadzony był stale z poglądami niemieckimi. Zmieniali się rozmówcy z drugiej strony, z tym że w praktyce głos w tym dialogu dzielili między sobą Francuzi i Polacy.

Samochwalstwo jest na ogół dowodem pustej zarozumiałości. Pragnąłbym polskich uczestników tych narad nie narażać na taką opinię. Muszę jednak stwierdzić, iż obecność Polaków na tym spotkaniu nie tylko wywołała zrozumiałe zainteresowanie, ale okazała się pod każdym względem twórcza. Przedstawiane przez Polaków poglądy przyjmowane były na ogół z dużym uznaniem, a jeśli budziły dyskusję, to twórczą i pożyteczną. Ta konfrontacja, tak jak i poprzednie, jest dowodem, że problematyka intelektualna katolicyzmu polskiego dawno już porzuciła opłotki i ma do wniesienia poważne elementy twórcze w problematykę ogólnoświatową.

Dla tych wszystkich przyczyn żałuję niezmiernie, że berlińskie spotkanie PAX CHRISTI nie ogarnęło szerszego kręgu słuchaczy i dyskutantów, zwłaszcza w środowiskach niemieckich. Miejmy jednak nadzieję, że wyniki tej dyskusji będą jak najszerzej spopularyzowane przez jej uczestników.

A temat przecież może się wydawać dość banalny. Pokojowe współżycie międzynarodowe! Któż się nad tym nie zastanawia już od lat? Otóż nie, sprawa nie jest taka prosta.

My, w Polsce, od lat już żyjemy w kręgu bezpośredniej akcji pokojowej. Jakkolwiek można by wiele powiedzieć na temat spłyceń i schematów myślowych, którymi się nieraz w najlepszej wierze posługiwała propaganda ruchu pokoju, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ostatecznie otworzyła ona wszystkim oczy na całą, przebogatą problematykę pokojowego współżycia między narodami. Nie wszędzie jednak tak się działo i nie wszystkie środowiska, a zwłaszcza nie wszystkie środowiska katolickie są dziś dostatecznie przygotowane na rozpatrywanie tego zagadnienia.

Dyskusja berlińska dowiodła tego, moim zdaniem, zupełnie wyraźnie. Napotkaliśmy tam bowiem zarówno stanowisko skrajne, kwestionujące w ogóle celowość stawiania sprawy pokojowego współżycia w świecie, jak i najróżniejsze odmiany stanowisk pośrednich, czyniących takie pokojowe współżycie w praktyce niemożliwe.

Wydaje mi się, że warto pokrótce zapoznać się z tymi postawami. Zacznijmy od najbardziej skrajnej, tej totalnie negatywnej:

„Współistnienie — pisał niedawna w „Civiltà Cattolica" głośny już ze swych reakcyjnych poglądów O. Messineo — jest koncepcją skierowaną przeciw człowiekowi. Tylko zepsuty materializm może być skłonny przyjmować ją jako kryterium życia. Ktokolwiek jest zdecydowany wspierać wartości duchowe, nie może jej nie odrzucić jako zasady rozkładającej naturalną wspólnotę ludzi".

Odrzućmy najpierw sami nieprawdopodobne mętniactwo sformułowań O. Messineo. Pod nim jednak kryje się treść zupełnie konkretna: mianowicie przeświadczenie, iż „naturalna wspólnota ludzi" nie pozwala na przyjęcie samej zasady podziału według różnych przekonań i przyjęcia jako konsekwencji następnej zasady, iż ludzie o różnych przekonaniach winni umieć ich bronić, głosić je ze świadomą wolą uniknięcia dla świata katastrofy wojennej.

W gronie katolickim wrogowie zasady pokojowego współistnienia stają się automatycznie zwolennikami „krucjaty" w imię „dobra", jakie wyrażają ich przekonania, przeciw „złu", jakie uosabiają ich przeciwnicy. Obóz ten, nieliczny, ale za to krzykliwy i nieraz wpływowy, był również reprezentowany na obradach berlińskich. Był jednak rzeczywiście bardzo osamotniony i bezradny.

Dziś bowiem, w roku 1955, niesposób już mówić jawnie o „sprawiedliwości wojennej", o „świętej sprawie, która zasługuje na poparcie miecza", jak to dawniej bywało. Wrogowie pokojowego współistnienia zmuszeni są do logicznych łamańców. Polegają one na głośnym wyrzekaniu się wojny, przy jednoczesnym odrzucaniu pokoju i głoszeniu zasady użycia siły wobec przeciwników. Jakiej siły? Nie odpowiadają, rzecz oczywista, i na tym polega właśnie ów świadomy łamaniec logiczny, obliczony na zapaleńców i naiwnych. Postawa ta jednak dziś traci na sile, gdyż została zepchnięta na pozycje wyraźnie defensywne.

Szanse jej w opinii publicznej wynikają jednak z kolei z bardzo niekonsekwentnego czasami stanowiska zwolenników pokoju. Dziś zwłaszcza spotykamy się często ze skłonnością dopatrywania się w pokojowym współżyciu również tylko postawy negatywnej — obawy przed konsekwencjami wojny. Ludzie w głębi serca najbardziej zarażeni ideą nietolerancji, pragnieniem zniszczenia przeciwnika, przyjmują nieraz pokój jako ostateczność, wywołaną złowrogimi konsekwencjami starcia nowoczesnych środków zbrojnych. Rzecz oczywista, obie powyższe postawy spotykają się tu na pół drogi.

Toteż słuszną tendencją obrad berlińskich było zaatakowanie zagadnienia u samych jego podstaw i skompromitowanie tych wszystkich intelektualnych i moralnych połowiczności.

Gdy się raz już przeszło poprzez tę najważniejszą przeszkodę, wyłania się — jak wykazało to doświadczenie naszej dyskusji — problem, który nazwać by można sprawą „ceny pokoju".

Pokojowe współżycie bowiem staje się sprawą sumienia współczesnego człowieka na tle skomplikowanych konfliktów i sprzeczności naszego świata. Pokojowe współżycie nie jest samo przez się rozwiązaniem tych trudności, jest raczej, można by powiedzieć „metodą" ich rozwiązywania.

Otóż spotkaliśmy się wielokrotnie w Berlinie ze stanowiskiem, które w formie najbardziej prymitywnej można by streścić następująco: pokój polityczny za pokój społeczny. Mamy tu oczywiście najbardziej klasyczny przejaw reakcyjnego myślenia ludzi, którzy chcieliby drogą szantażu atomowego uzyskać zahamowanie zagrażających im sił społecznych. Odpowiedź na to jest oczywiście prosta. W gronie katolików jednak znajdziemy inną interpretację: dąży ona do ustawienia, rzekomo w imię sprawiedliwości, stosunków społecznych między ludźmi i między klasami, oraz stosunków politycznych między państwami na tej samej stopie. Mówi się wówczas: skoro żądamy w życiu międzynarodowym nieuciekania się do użycia siły — nie używajmy jej również w konfliktach społecznych.

Oczywiście dotykamy tu niezmiernie skomplikowanego zagadnienia. Sprawa zasługuje na zainteresowanie publicystów katolickich. Czy i jaki istnieje związek pomiędzy walką o pokojowe współistnienie między narodami, o zakaz broni masowego zniszczenia, o ograniczenie wyścigu zbrojeń — a walkami ludów kolonialnych i ich wyzwolenie w Afryce, w Azji, a strajkami robotników w Anglii czy we Francji, a antyimperialistyczną, rewolucyjną aktywnością mas pracujących w Ameryce Południowej?

W dzisiejszej kampanii o pokój na świecie ta problematyka wyrasta bez wątpienia na czoło zainteresowań katolickiej opinii publicznej.

Dopiero teraz dochodzimy do sedna problemu. Tok mojego rozumowania odpowiada zresztą całkowicie programowi omawianego spotkania. Pokojowe współżycie nie zamyka się w problematyce dyplomatycznych stosunków pomiędzy suwerennymi państwami. Okres klasyczny burżuazyjny charakteryzował fakt, że państwa różniły się między sobą zasięgiem interesów materialnych, ale opierały się o te same założenia społeczne. Praktycznie bowiem od połowy XIX wieku różnice dzielące państwa liberalno-burżuazyjne od państw autorytatywno - feudalnych zeszły wyraźnie na drugi plan. Ich miejsce zajęły starcia imperialnych rywalizacji.

Dziś jednak różnice dzielące świat nie sprowadzają się, jak by to wielu chciało widzieć, do imperialistycznych rywalizacji. Ścierają się przede wszystkim systemy społeczne i światopoglądy. Toteż druga część dyskusji poświęcona była już wyraźnie próbie sformułowania oceny stanu tego konfliktu, stosunku katolików do jego partnerów i postulatów, jakie oni wnoszą do zasady pokojowego współżycia na tym odcinku.

Tu też mieści się cała dyskusja na temat stosunku katolików do socjalizmu, bez wątpienia najbardziej twórcza część tego spotkania, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się ono odbywało.

Znów nieśmiało, by ponownie nie narazić się na zarzut zarozumiałstwa, muszę zaznaczyć, że na tym gruncie, myśmy się czuli znacznie bardziej pewnie od reszty dyskutantów i że nasze sformułowania były na ogół przyjmowane przez wszystkich. Rzecz oczywista, na tym odcinku dyskusja trzymała się z konieczności ram bardzo ogólnych. Daleka była od precyzji ideologicznych, gdyż zebrani w większości byli dość odlegli od pozycji społecznie postępowych. Dyskusja zasługiwała więc w pełni na miano „akademickiej", mimo ożywienia, jakie wnosiły głosy francuskie i nasze, mimo protestów nielicznej skrajnej opozycji.

Dwa chyba najcenniejsze wnioski z tej części obrad sprowadzają się do tez:

— że katolicy muszą się nauczyć dostrzegać wartości, jakie wnosi ze sobą świat socjalizmu, wartości często przemilczane i niedoceniane,

— że katolicy winni wykazać czujność wobec istnienia z ich strony niebezpieczeństwa dwulicowości wobec świata socjalizmu. Ich stosunek bowiem nie może być tylko wyrazem konieczności liczenia się z jego siłą tam, gdzie budują się już nowe formy życia państwowego. Przeciwnie, docenianie wartości socjalizmu obowiązuje w tej samej mierze w demokracji ludowej, co w kraju kapitalistycznym, gdzie te siły są jeszcze na pozycjach walki, a nie władzy. Odwrotnie zresztą, konsekwencje różnic światopoglądowych muszą być jednakowo jasno uświadamiane tak w jednych, jak i w drugich warunkach.

Powyższe sformułowania są bardzo ogólne, ale też nasza dyskusja nie pozwoliła na ich ściślejszą precyzję, zależy mi zaś na tym, by w tym sprawozdaniu operować właśnie myślami dyskutantów i nie podkładać im naszych własnych pojęć. Ten ostatni punkt, ja bym na własny użytek określił prosto: zarówno w świecie budującym socjalizm, jak i w kapitalistycznym, katolicy winni konsekwentnie zajmować pozycje społecznie postępowe dla wartości, jakie one wnoszą, a nie pod presją wydarzeń, z obawy przed konsekwencjami wstecznictwa czy też w celu licytowania się o wpływy w masach pracujących.

Znaczenie obu tych tez jest, moim zdaniem, ogromne, gdyż wyłamuje się całkowicie poza schemat myślenia, narzucany wielu środowiskom katolickim przez presję wstecznego i nieraz bardzo zakłamanego burżuazyjnego stylu myślenia. Jest też zasługą organizatorów i referentów z ramienia PAX CHRISTI, że umieli nadać tym obradom, toczonym w tak trudnych warunkach, jakie stwarza Berlin zachodni, ton tak obiektywny, odpowiedzialny i szczery.

Myślę jednak, że sfałszowałbym to sprawozdanie, gdybym nie położył jeszcze akcentu na pracy duchowej, religijnej, która się w ciągu tych dziesięciu dni odbywała jednocześnie z pracą umysłową. Wspólne Msze Święte i modlitwy, pogłębiona zbiorowa liturgia, intencje, wnoszone przez zebranych w imię i dla dobra innych narodów, to wszystko tworzyło atmosferę, w której rozprawa na temat chrześcijańskiego sensu pokoju między ludźmi nabierała specjalnie wyrazistej treści duchowej. Myślę, że więcej takich spotkań przysłużyłoby się dobrze uniknięciu wielu potknięć, rozwianiu wielu nieporozumień, pogłębiając jednocześnie sens katolickiego uniwersalizmu, ów najprawdziwszy sens nakazu „vivere cum Ecclesia"!

Wojciech Kętrzyński

Käthe Kollwitz—Matka z dzieckiem na ręku

Oryginalna twórczość Käthe Kollwitz nie znalazła u nas, niestety, swego popularyzatora. A szkoda. Plastyka walcząca, plastyka sięgająca do rewolucyjnej przeszłości ludu i reagująca żywo i w tempie iście dziennikarskim na tzw. problemy dnia znaleźć mogła w twórczości Käthe Kollwitz świetne wzory. Począwszy od cyklu poświęconego wojnom chłopskim poprzez cykl buntów tkaczy śląskich do serii rysunków pacyfistycznych — wszędzie znajdziemy te same istotne cechy jej twórczości: żarliwość ideową i humanizm, które w połączeniu z wielkimi walorami artystycznymi czynią jej grafikę zawsze aktualną i świeżą.

Jedenasta rocznica śmierci Käthe Kollwitz winna stać się okazją do przypomnienia twórczości tej najwybitniejszej przedstawicielki postępowej grafiki niemieckiej.

TRUDNY SUKCES

JANUSZ STEFANOWICZ

BYWAJĄ wydarzenia, które na pierwszy rzut oka wyglądają dziwnie i niespodziewanie; dopiero po bliższym rozeznaniu widać ich głęboką logikę. Do takiego właśnie rzędu należała nota radziecka z 7 czerwca, proponująca Niemieckiej Republice Federalnej nawiązanie normalnych stosunków z ZSRR. Nota, której towarzyszyła atmosfera zaskoczenia w świecie zachodnim, stanowiła w istocie logiczną konsekwencję dwu przesłanek: pierwszej, przyjętej przez ZSRR od początku jego istnienia, a streszczającej się w uznaniu konieczności pokojowego współistnienia narodów o różnych systemach społecznych. Drugiej, przyjętej przez rząd radziecki po ratyfikacji układów paryskich, która stwierdzała przedłużenie podziału Niemiec, właśnie z powodu ratyfikacji.

Obie tezy znalazły dobitne potwierdzenie w Genewie. Wszyscy uczestnicy „konferencji na szczytach" uznali konieczność pokojowego współistnienia. Uznali prawdę, którą N. S. Chruszczow musiał przypomnieć Adenauerowi w Moskwie, mówiąc, że „Wy macie system kapitalistyczny, my zaś socjalistyczny... Ale ponieważ systemy te istnieją, należy szukać jakiegoś wspólnego punktu widzenia, wspólnego punktu styczności dla normalnego współistnienia". Konferencja genewska potwierdziła też — niestety — drugą tezę: koncepcje mocarstw zachodnich i ZSRR na kwestię jedności Niemiec są w chwili obecnej na tyle rozbieżne, że nie można spodziewać się szybkiego zjednoczenia Niemiec.

Dzięki sprecyzowaniom i wynikom genewskim przygotowania do wyjazdu dra Adenauera odbywały się z aprobatą większości prasy zachodniej, która coraz lepiej uświadamiała sobie zarówno konieczność, jak i możliwości wizyty w Moskwie. „Jeśli wojna została wykluczona jako instrument polityki, jedyną alternatywą może być negocjowanie problemów... W gruncie rzeczy konferencja genewska poderwała fundamenty polityki siły Waszyngtonu i Bonn" — pisał z dużą dozą realizmu korespondent „New York Times" Handler. A w samych Niemczech zachodnich płk. von Bonin stwierdzał, że „droga wiodąca do zjednoczenia prowadzi jedynie przez kompromis; oznacza on utworzenie wyraźnie neutralnego państwa niemieckiego". Tak więc, rozmowy są konieczne. A czy są — w opinii tejże prasy — możliwe? Najbardziej lapidarnie odpowiada na to „Westfaelische Rundschau" — „Kto przeczytał książkę Kindermana o wizycie kanclerza Raaba „Lot do Moskwy", ten wie: ze Związkiem Radzieckim można pertraktować".

Podobne głosy towarzyszyły kanclerzowi przez cały okres przygotowań, towarzyszyły mu w czasie podróży. Ale mimo tych głosów, mimo iż lot arcywygodnym samolotem „Constellation" nie powinien go zmęczyć, dr Adenauer potknął się już na lotnisku moskiewskim, i to bardzo poważnie. Witając mianowicie premiera Bułganina przedstawił się jako reprezentant całego narodu niemieckiego. To mylne rozeznanie rzeczywistości miało dlań fatalne następstwa — kazało mu postawić owe osławione „warunki wstępne", kazało mu napaść na Niemiecką Republikę Demokratyczną. Może zresztą w napaści tej grały rolę i inne momenty; może megalomania, a może poczucie własnej słabości — nie wiem, zbyt mało znam konterfekt psychiczny pana kanclerza federalnego. W każdym razie dobrze się stało, że przywódcy radzieccy logicznie i jednoznacznie przypomnieli mu rzeczywistość: istnienie NRD, z którym to faktem musi się nolens volens liczyć.

W czasie trwania konferencji, w przemówieniach delegacji niemieckiej dzień w dzień pojawiały się powtarzane z ponurym uporem dwa zagadnienia: osławione warunki wstępne, przedstawione natychmiast po kategorycznym stwierdzeniu, że strona NRF warunków takich nie stawia. Nie spierajmy się zresztą o frazeologię. Bez względu na to, jak je nazwiemy, dwa tematy — przestępców wojennych przebywających w ZSRR i jedności Niemiec — zamieniały często spotkanie w pojedynek; te tematy kazały nawet przypuszczać, że konferencja skończy się fiaskiem. Warto się im więc przyjrzeć.

Delegacja niemiecka stwierdzała, że nawiązanie stosunków dyplomatycznych i innych między NRF i ZSRR jest całkowicie niemożliwe bez uprzedniego zwolnienia zbrodniarzy wojennych, odbywających kary w Związku Radzieckim. Do tego sprowadzić można wszystkie wypowiedzi Adenauera i von Brentano. Łatwo wykazać podwójną absurdalność tego stanowiska. Po pierwsze, byłoby rzeczą zabawną dowodzić, że przestępcy ci zamieszkiwali przed wojną wyłącznie po zachodniej stronie Łaby; wiadomo, iż pochodzą oni z całych Niemiec, są więc obywatelami niemieckimi, podległymi w obecnym stanie rzeczy suwerennej władzy dwu państw — Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Niemieckiej Republiki Federalnej. Tak więc tylko oba te państwa wspólnie mogą wystąpić do ZSRR o generalne załatwienie problemu zatrzymanych zbrodniarzy. Po drugie, prawo międzynarodowe stawia sprawę bardzo jasno: kwestie ekstradycji czy darowania kary mogą być załatwiane tylko albo w ogólnym traktacie pokojowym, albo — jeśli traktatu takiego nie ma — w bezpośrednich rokowaniach państw, które uznają się wzajemnie i utrzymują ze sobą pokojowe stosunki. Nie trzeba więc chyba dodawać, że droga do zwolnienia tych osób prowadzi właśnie przez normalizację stosunków NRF — ZSRR, a nie odwrotnie.

Drugi warunek wygląda chyba jeszcze bardziej absurdalnie. Kanclerz Adenauer zjawia się w Moskwie i stwierdza w oświadczeniu wstępnym — „Nie zamierzam komplikować procesu, który powinien doprowadzić do zjednoczenia Niemiec, rozpoczynając tu dwustronne rozmowy, niezależnie od pertraktacji czterech mocarstw". Na drugi dzień jego minister spraw zagranicznych mówi natomiast — „Nawiązanie stosunków politycznych między naszymi narodami... nie miałoby podstaw, gdyby opierało się na zasadzie rozbicia Niemiec". Gdzież więc jest prawda? Czy dr Adenauer spodziewał się, że premier Bułganin wyciągnie — jak prestidigitator króliki z cylindra — gotowy układ między czterema mocarstwami na temat jedności Niemiec, dotychczas starannie chowany przed oczyma kanclerza? Tak sądzić nawet nie wypada. Czy myślał może, że w ten sposób przynagli mocarstwa do porozumienia? Powinno go tu wyprowadzić z błędu oświadczenie jego własnego zastępcy, wicekanclerza Bluechera, który miesiąc przed konferencją powiedział — „Problem zjednoczenia Niemiec może być rozwiązany ostatecznie nie w drodze dwustronnych rozmów, ale tylko na bazie czteromocarstwowej". Powinno go otrzeźwić zdanie „Frankfurter Allgemeine Zeitung" z tego samego okresu — „Jeżeli cokolwiek może uczynić na Zachodzie sprawę zjednoczenia Niemiec bardziej niepopularną, to do tego doprowadzić mogą niemieckie próby zakłócania powszechnego odprężenia argumentacją, iż w warunkach zmniejszenia napięcia i rozwiązania sprawy zbiorowego bezpieczeństwa Niemcy nie zostaną zjednoczone". A tej właśnie argumentacji używał w istocie Adenauer w Moskwie. Nie tu więc szukać trzeba przyczyn postawienia warunku jedności przez kanclerza. Powstaje mimo woli bardzo przykre podejrzenie — kanclerz federalny, jadąc do Moskwy z podobnym warunkiem w kieszeni, nie myślał zbyt poważnie o aktualnym nawiązaniu stosunków z ZSRR.

Jeśli jednak poddamy w wątpliwość dobrą wolę Adenauera, czym wytłumaczyć ostateczny — przyznajmy szczerze, dość niespodziany — sukces konferencji? Czym wytłumaczyć przezwyciężenie trudności, stawianych przez delegację niemiecką? Czym wytłumaczyć, że w ostatnim dniu pojedynek okazał się jednak spotkaniem?

Odpowiedzi szukać należy w dwu momentach.

Po pierwsze, pamiętajmy, że w negocjacjach działał nie tylko duch „warunków wstępnych"; działał także duch pełnej szczerości i dobrej woli ze strony radzieckiej. Przedstawiciele ZSRR z całym spokojem i cierpliwością wyjaśniali swoim rozmówcom nierealność stawianych przez nich warunków. Z całą życzliwością dopuszczali myśl, iż — być może — delegacja niemiecka nie jest przygotowana na natychmiastowe sfinalizowanie porozumień. Chcecie czekać na nawiązanie stosunków dyplomatycznych? Dobrze, możemy poczekać, chociaż nie jest to zbyt rozsądne — mówili Chruszczow i Mołotow. Chcecie rokowania handlowe przenieść na płaszczyznę odrębnych, wyspecjalizowanych rozmów w komisjach? Zgoda — powiedział Premier Bułganin. To właśnie wyrozumiałe, niespieszne, a przy tym pełne godności stanowisko delegacji Związku Radzieckiego zadecydowało o dobrej stronie konferencji, zadecydowało w końcu o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych.

Po drugie, musimy pamiętać, że dr Adenauer nie mógł pozwolić sobie na powrót do Bonn bez żadnych rezultatów. Wskazują na to codziennie pojawiające się w prasie niemieckiej żądania: nie chcę nużyć czytelnika tłumem cytatów, które leżą przede mną. Jeden jednak głos, bardzo typowy, pozwolę sobie przytoczyć. Związek Niemców w Essen wystosował list otwarty do kanclerza federalnego, w którym czytamy m. in.: „Naród niemiecki ma nadzieję, że bezpośredni kontakt odpowiedzialnych polityków położy kres nieznośnemu stanowi napięcia... pomiędzy dwoma państwami, które utrudnia, a nawet uniemożliwia osiągnięcie pozytywnych wyników. Nie ulega wątpliwości, że dobre stosunki ze wszystkimi sąsiadami, a więc również z sąsiadami ze Wschodu, zabezpieczają i wzmacniają gospodarczą i polityczną niezależność Niemiec".

Zresztą sprawa stosunków dyplomatycznych wiąże się ściśle z inną leżącą na sercu już nie tylko całej ludności Republiki Federalnej, ale indywidualnie osób stojących bardzo blisko kół rządzących Bonn — z nawiązaniem stosunków handlowych.

Sprawa ta była niewątpliwie niezwykle istotna dla stanowiska zajętego ostatecznie przez Adenauera: co więcej, jest także niezwykle charakterystyczna dla obecnej sytuacji ekonomicznej Niemiec zachodnich, sytuacji pełnej ponurych perspektyw i dalekiej od reklamowanego stanu „cudu gospodarczego". Warto więc przyjrzeć się powodom, które skłaniały przemysłowców zachodnio-niemieckich do tak silnego nacisku na nawiązanie stosunków handlowych z ZSRR.

Pierwsza przyczyna to brak zaufania do rynków zachodnich, a przede wszystkim do monopolizacji niemieckiego handlu zagranicznego przez te rynki. Dokonywana w szeregu pism zachodnio-niemieckich analiza da się streścić następująco:

Wbrew pozorom wspaniałego rozwoju handlu na rynkach zachodnich okazuje się, iż sytuacja kształtuje się bardzo różnie w istniejących trzech strefach walutowych. Mianowicie obszar walutowy Europejskiej Unii Płatniczej — obszar o bardzo ograniczonej zdolności obrotowej, nie dający dobrych perspektyw rozwojowych — obejmuje przytłaczającą większość niemieckiego handlu zagranicznego (70 procent). Natomiast w stosunku do strefy dolarowej NRF znajduje się trwale w biernej pozycji handlowej. W trzeciej strefie, tzn. w krajach nie należących ani do EPU, ani do strefy dolarowej, zdaniem zachodnio-niemieckich kół gospodarczych osiągnięto już szczytową granicę możliwości. Wniosek jest jasny: jeśli NRF nie zacznie się oglądać za nowymi rynkami, jeśli nie zacznie prowadzić wymiany handlowej z nowymi dla siebie partnerami, przemysł jej czeka stagnacja i kryzys. To jest pierwsza przyczyna nacisku na handel z ZSRR.

Druga to przekonanie, iż rynek ZSRR jest niezwykle korzystny i bogaty z punktu widzenia interesów przemysłu zachodnio-niemieckiego. „Der Volkswirt", organ niemieckich związków zawodowych, pisał w przededniu konferencji: „Niezależnie od tego, jak się oceni „czerwony handel", faktem niezbitym jest i pozostanie, że w rynkach Wschodu leży rzeczywista rezerwa handlu zagranicznego, a rynki rosyjskie były dotychczas ze względów politycznych niemal całkowicie zamknięte przed Niemcami". Fakty są zaś alarmujące: roczniki statystyczne wykazują, że udział krajów wschodnio-europejskich w handlu zagranicznym NRF wyniósł w roku 1954 zaledwie 2,5 procent.

Dla zachodnio-niemieckich przemysłowców nie ulega żadnej wątpliwości, że dynamika i sytuacja gospodarki światowej będzie w coraz większym stopniu uzależniona od podaży i popytu ze strony Związku Radzieckiego, Chin i państw demokracji ludowej. Co ciekawsze, zanikają już głosy twierdzące, iż struktura ekonomiczna krajów socjalizmu uniemożliwia normalne stosunki handlowe. Przeciwnie, poważne pisma gospodarcze uważają, że industrializacja tych państw — jak uczy doświadczenie — dowodzi czegoś wręcz przeciwnego, dowodzi możliwości ogromnego rozwoju wymiany towarowej.

Nacisk, jaki zachodnio-niemieckie koła przemysłowe wywierały — widzimy dzisiaj, że z dobrym skutkiem — na kanclerza Adenauera, wyczytać można najlepiej w nie przeznaczonym do publikacji prasowej biuletynie sztuttgardzkich przemysłowców „Die Prognose". Czytamy tam: Rząd musi uszanować pęd zachodnio-niemieckiego przemysłu do handlu wschodniego, gdyż nie uda mu się działać wbrew interesom swego przemysłu kluczowego. A że przemysł Zagłębia Ruhry chce i jest w stanie pójść drogą, która jego zdaniem jest słuszna i na przyszłość lukratywna, to wykazał dobitnie chociażby w czasie targów lipskich i w potraktowaniu delegacji radzieckiej na targach w Hanowerze".

Tak więc stanowisko ZSRR i wola ludności NRF i interesy kół związanych z Kanclerzem Adenauerem doprowadziły, po trudnych i często źle się zapowiadających rokowaniach, do sukcesu w nawiązaniu stosunków politycznych. Oczywiście jest to tylko początek. Ale podkreślić trzeba, że początek ten nie był — i nie mógł być łatwy. Dlatego szczególnie cenić trzeba w tym wypadku walor pierwszego kroku: miejmy nadzieję, że dalsze kroki stanowić będą długie może, ale owocne rokowania nad innymi zagadnieniami, żywotnymi dla pełnych stosunków między obu państwami.

Janusz Stefanowicz

STANISŁAW ZBOROWSKI

O „Lorenzaccio" uwagi polemiczne

1

„LORENZACCIA" w Teatrze Polskim widziałem tuż przed przerwą wakacyjną, a dopiero teraz, po dwumiesięcznej blisko przerwie, zamierzam zsumować moje wrażenia, „wyciągnąć wnioski", „podkreślić", „uwypuklić" czyli dokonać niezbędnych zabiegów warunkujących powstanie recenzji teatralnej. Czy jednak nie za późno zabrałem się do tej pracy, czy mam prawo dopiero teraz wydawać sądy o zjawisku tak żywym, złożonym, jakim jest realizacja sceniczna wielkiego, historycznego dramatu? Być może pedanci odmówią mi tego prawa, niemniej jednak dopiero teraz ta ogromna całość, którą Jaszcz w swej recenzji nazwał „filmem renesansowym" — oddaliła się na tyle, abym mógł objąć ją w całości wzrokiem, ocenić proporcje poszczególnych ujęć, sekwencji, sytuacji. Istotnie muszę zgodzić się z opinią recenzentów, był to istotnie pełen przepychu „fresk sceniczny, strojny, dekoracyjny, uwodzicielski jak maskarada w feudalnym pałacu"...) Chór pochwał, jaki wzbił się po premierze „Lorenzaccia" był na pewno w wielkiej mierze zasłużony przez twórców tego monumentalnego widowiska. Podkreślono słusznie „szeroki gest" scenografa, Teresy Roszkowskiej i wielką erudycję teatralną reżysera, Edmunda Wiercińskiego. Nie zamierzam w zasadzie polemizować z mymi poprzednikami.*

Ale... w żadnej dziedzinie sztuki nie może, niestety, obyć się bez tego dyskusyjnego „ale". Skoro już sporo czasu minęło, nadeszła pora na ponowne przemyślenie polskiej prapremiery „Lorenzaccia" Musseta. Tym bardziej, że miał być niejako deklaracją artystyczną nowej dyrekcji teatru, sprawdzianem zaszłych reorganizacji. Należy się zastanowić, czy rzeczywiście zaszły poważniejsze przeobrażenia w programie artystycznym Teatru Polskiego.

Nie zamierzam powracać do samego utworu. „Obiektywnie" powiedziano już o nim w licznych recenzjach i programie niemal wszystko, co da się jeszcze dla szerokiej publiczności o tym dramacie powiedzieć, natomiast moje subiektywne zdanie odbiega nieco od ustalonej opinii. Nie przepadam za tym „wydaniem" Musseta „na koturnach", głos jego z tej wysokości brzmi dla mnie nieco nieszczerze, stokroć wolę jego małe rozmiarami arcydzieło ze wspaniałym „Nie igra się z miłością" na czele. Tutaj, w „Lorenzacciu", Musset musiał wyrzec się swojej mistrzowskiej kameralności, a wyjście na ulice, pomiędzy tłum i wejście na trybunę nie wypadło równie naturalnie lekko... Powstał utwór bardzo godny, głęboki, przemyślany, monumentalny, ale jakoś (w każdym razie dla mnie) niesympatycznie niemussetowski. Mogę nawet wyznać dlaczego. Oglądane po wojnie komedie tego pisarza są aż zadziwiająco żywe, zaczepne, wciągające w orbitę swych spraw dzisiejszego widza. Z „Lorenzaccia" natomiast wieje leciutki zapaszek muzealnej stęchlizny, nieco dostojnej nudy historycznego układu. Nie jest tego wiele i autor wynagradza to wielkimi walorami artystycznymi, ale od teatru właśnie oczekuje się, aby w miarę możności oczyścił utwór z niemiłych miazmatów, zbliżył go do dzisiejszej widowni, rozruszał...

2

CZY Teatr Polski podołał w pełni temu zadaniu? Czy inscenizacja Edmunda Wiercińskiego była rzeczywiście nowoczesną i odkrywczą? I tak i nie. Pisano tu i ówdzie, że mimo urzekającej barwności widowiska i pomysłowego rozwiązania szeregu sytuacji — ze sceny na ogół wiało chłodem, widownia nie została włączona w obręb dramatu, „rampa sceniczna" wyraźnie rozgraniczała dwie sfery... Spostrzeżenie to było zupełnie słuszne, „Lorenzaccia" smakowało się, podziwiało jako popis twórców widowiska, ale nie samą sztukę. Podziwiało się więcej sam „styl" i „ujęcie", a nie samych ludzi. Całość wyglądała barwnie i obco, jak przez szyby muzealnej gabloty. Zawiniła tu zarówno scenografia jak i reżyseria. Roszkowska nie trzymała się konsekwentnie tej samej myśli opracowując swoje projekty do „Lorenzaccia". Po bokach ustawiła kolosalne, czarne słupy, które od razu narzucały nastrój rzeczy bardzo dostojnej i ciężkiej. Pomiędzy nie spuszczała na wyciągach bardzo lekkie, ażury (np. fronton katedry), które z tą ramą niezupełnie współgrały. Jedne obrazy sceniczne były w dużej mierze umowne, uzyskiwane przez zastosowanie jedynie „wyznaczników" miast całości, w innych natomiast (np. wieczerza u Strozzich) Teresa Roszkowska wzorowała się na wielkich realistach malarstwa włoskiego. W sumie, dekoracjom swoim kazała wielokrotnie odezwać się nazbyt pełnym głosem i nie zawsze brzmiącym na tej samej wysokości. Oczywiście, ani słowa krytyki pod adresem jej wspaniałych kostiumów, lecz baśń, jaką te fantastyczne stroje tworzyły mogła mieć tło prostsze i bardziej jednolite.

Reżyseria natomiast nie wydobyła dostatecznie dramatu Lorenza Medici zwanego Lorenzacciem na plan pierwszy. Lorenzaccio przemykał się tu i ówdzie szary i nieważny, a wraz z nim przemykała się cała jego sprawa. Do reżysera należało problem „Hamleta obłaskawionego" na florenckim dworze wyodrębnić z gąszcza scen, postaci, zagadnień pobocznych, nawet kosztem dłużyzn tekstu nazbyt z nim nie związanych. Wierciński z ogromnym znastwem przedmiotu i wiernością wobec Alfreda de Musseta wskrzesił jego dzieło na scenie, ale czy nie należało dokonać śmielszej selekcji materiału? Właśnie tej, jakiej domaga się współczesny teatr. Nie zapominajmy: wskrzeszony przed kilkoma laty z wielkim pietyzmem przez Comedie Française „Hernani" Wiktora Hugo padł po kilku dniach, natomiast wielkie dramaty romantyczne z „Lorenzacciem" włącznie święcą na scenie T. N. P. długotrwałe sukcesy. Właśnie w T. N. P., gdzie mniejszy nacisk kładzie się na zachowanie tradycji i couleur local, natomiast wydobywa się zasadniczy problem i przekazuje widowni poprzez zrozumiale zarysowane sylwetki postaci.

3

NIESTEY, nad krystalizacją sylwetek ludzi z „Lorenzaccia" zaciążyła jeszcze zmora „seminaryjności". Jaskrawym jej przykładem może być sam bohater dramatu, kreowany przez Czesława Wołłejkę. Czego w tej roli nie ma! Jest i filozof i liryk, odmienna edycja Hamleta i Brutusa. Jakiś ogromny rebus psychologiczny. Nie przeczę, że z tekstu to wszystko można było wydedukować. Lorenzaccio jest bardzo złożonym typem psychologicznym, dzieje jego kryją wiele sensu filozoficznego. Człowiek, który ocalić może własne człowieczeństwo jedynie poprzez zabójstwo innego człowieka, czyż to nie wielki i głęboki temat! Kwestia społeczna łączy się tutaj ze sprawami jednostki, która rozstrzygając własny układ losu, dokonując decydującego wyboru — czyni to równocześnie w imię zbiorowości. Ileż wniosków nasuwa historia przeobrażania się „mściciela" dla idei, fanatyka, lecz ożywionego jakąś myślą rewolucyjną — w mściciela swego własnego honoru. (Sam Lorenzaccio nie wierzy przecież, aby jego czyn mógł zbawić naród, zdaje sobie sprawę z niedołęstwa republikanów, z niedojrzałości rewolucyjnej mas). Wynika stąd inna jeszcze prawda, jak dalece środowisko wnika w nas samych, w jak znacznym stopniu nie stanowimy całości autonomicznej i zamkniętej. Aktor, idąc za wskazówką reżysera może przybrać jedną z wielu twarzy, proponowanych przez tekst dramatu. Wołłejko nie chciał z żadnej z nich zrezygnować, rola jego jest bardzo wyrozumowana, bardzo „mądra", ale dzięki temu oddala od nas postać kreowaną. O takim Lorenzacciu można wiele mówić po spektaklu, nie odczuwa się go natomiast na scenie. Podobnie wiele można mówić o precyzji gustu, mimiki, słowa u Jana Kreczmara w roli kardynała Cibo, ale kardynał w jego wykonaniu pozostaje owym pięknym gestem, doskonałym tonem, nie budzi natomiast dostatecznego rezonansu emocjonalnego u widzów, jakie budzić powinien. Bardzo zimne przedstawienie. Ze scen zbiorowych (znowu przemyślanych), a jakże, skomponowanych kolorystycznie, wiało jednak tym samym chłodem i statycznością. Należy sobie zdać przecież sprawę, że nigdy nie uda nam się stworzyć odpowiednika vilarowskiego „chłodu intelektualnego" (jakże jednak porywającego!) i że nie mamy wcale obowiązku iść jego śladami.

Że istnieje inne rozwiązanie tego zagadnienia przekonała mnie o tym świetna, najtrafniej ujęta w tym przedstawieniu rola księcia Aleksandra, kreowana przez Władysława Hańczę. Jakże odbiegał on od reszty wykonawców! Odbiegał przede wszystkim swoim na wskroś nowoczesnym ujęciem i zrozumieniem postaci. To był książę Florencji, a równocześnie bardzo „dzisiejszy" człowiek. Bliski był nawet swoją odpychającą powierzchownością zdrowego osiłka, swoimi ujemnymi, potrosze „chuligańskimi" cechami charakteru. Tym zrozumieniem postaci Hańcza przerzucił pomost pomiędzy odległą epoką i niemniej już odległym dziełem a dzisiejszą widownią. Dopiero gdy Książę Florencii pojawiał się na scenie, widownia rzeczywiście reagowała, to odczuwała wstręt do brutala i prostaka w książęcej szacie, to znowu przenikała ją radość, że akt zabójstwa został dokonany. Hańcza gra bezpośrednio, całym ciałem, pełnym głosem, wyrzeka się wszelkiej sztucznej pozy, której wielu aktorów nie odmówiłoby sobie. W scenach Książe — Lorenzaccio spotykają się dwie, zupełnie różne koncepcje: z jednej strony sylwetka człowieka wyrastająca z epoki, lecz równocześnie należaca do bliskiego i zrozumiałego przez nas kręgu postaci — z drugiej psychologiczny znak zapytania, osobowość interesująca lecz daleka. Nie włączam do tego zestawienia wspaniałej Elżbiety Barszczewskiej w

*) por. recenzja Jaszcza „Trybuna Ludu" Nr. 235.

Redaguje Zespół
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5.
Zam. nr. 1986.
B-6-17981

Próżność nauk: wiedza rzeczy zewnętrznych nie opłaci mi w chwilach zgryzoty niewiedzy moralnej...
PASCAL

KONRAD EBERHARDT

WOŁANIE Z DRUGIEGO BRZEGU

1

TA powieść została napisana i wydana co najmniej o dziesięć lat za wcześnie. Usiłuję ją ujrzeć na tle ostatnich lat międzywojennej literatury francuskiej, objętej już cieniem nadciągającej zagłady — i nie znajduję dla niej miejsca. Brak jej było literackiego mistrzostwa Bernanosa i intelektualnej finezji Saint-Exupéry'ego, tych katolików, którzy „mimo wszystko" zostali uznani. Mówiła, jak się wtedy wydawało, rzeczy wprost, waliła niemal ordynarnie pięścią w stół, wskazywała sprawców zbrodni i ich ofiary. I to wtedy, gdy „górę" tej literatury stanowiła wyniosła „trójca genewska" Gide, Giraudoux, Valéry, a „stan średni" stanowiły tysiące pisarzy rozgrzebujących cierpliwie problemy psychologiczne i fizjologiczne erotyzmu. Nawet wielcy samotnicy w rodzaju Kafki należeli już do przeszłości. Na kartach książek świetnego Céline'a pogłębiała się pogarda człowieka, czuć na nich było oddech nadciągającego faszyzmu. Wtedy właśnie Maxence Van der Meersch wybrał się z opublikowaniem swojej gorącej, oskarżycielskiej książki. Nie mógł narzekać na brak rozgłosu, na przemilczenie — powieść wzbudziła ogromne wzburzenie w sferach lekarskich, przygotowano odpowiednie listy otwarte, sprostowania, rzecz uznano za największy paszkwil współczesny na medycynę i lekarzy. Dopiero wybuch II wojny światowej zagłuszył gwar obrażonych, dotkniętych pośrednio lub bezpośrednio piórem Maksencjusza Van der Meerscha.

Czytając dzisiaj „Ciała i dusze"[1]), tę dużą, dwutomową powieść, z której mimo upływu kilkunastu lat nie wyparował gniew i głębokie przeżycie opisywanych zdarzeń — odnosi się wrażenie, że książka ta należy do powojennej epoki. Mniej już nas interesują w niej pseudonarodowe teorie autora, problemy związane ściśle ze światem medycyny, a tym chętniej odkrywamy w niej drugie, istotne dno. I literatura europejska zmądrzała przez ten czas. Egzystencjaliści, którzy postawili przed sobą bardzo niepokojący program „être témoin" (być świadkiem), dzięki temu hasłu właśnie wdarli się w głąb wielu bolesnych, niedotykanych dotąd spraw. Rozpoczął się jakiś widoczny spór nie tyle o „istnienie", ile o sens moralny świata i życia.

Hervé Bazin, jeden z najwybitniejszych pisarzy francuskich lat powojennych, pisząc swoją powieść „Lève-toi et marche" („Wstań i idź") miał na myśli nie tylko prywatną niejako tragedię paralityczki i związany z tym problem medyczny, ale również zagadnienie, jak dalece człowiek podlega nieznanej, wewnętrznej sile moralnej, jak wiele od niej zależy.

Nie tylko sprawy szpitalne miał na myśli Dino Buzzati[2]) nakreślając obraz samotnej wędrówki chorego, zredukowanego do roli „ciekawego przypadku", przez piętra zdehumanizowanej, nowoczesnej kliniki. Na ostatnim piętrze, na dnie bezdusznie działającego mechanizmu, chorego oczekiwała śmierć, równie obojętna jak ludzie, którzy go w tej drodze „w dół" otaczali.

W „Mandarynach" Simony de Beauvoir chodzi nie tylko o sprawy pisarzy, lecz o kryzys ideowy i moralny całej mieszczańskiej inteligencji francuskiej, o problem wyboru którejś z dróg wiodących w przyszłość.

Odczytywana dzisiaj powieść Van der Meerscha nabiera również innego sensu. To nie jest powieść o lekarzach. To jest „pośmiertne" wtrącanie się pisarza katolickiego w toczący się dzisiaj spór, wołanie z „drugiego brzegu" do dzisiejszego świata, który pragnie dźwignąć się z ruin na nowych zasadach.

2

NIESTETY, „Ciała i dusze" nie ustrzegły się jakiegoś pecha prześladującego francuską powieść katolicką. Określiłbym go jako nieumiejętność odnalezienia właściwej wysokości tonu wypowiedzi pisarskiej. Huysmans, wielki pisarz, zbyt wcześnie odesłany do „archiwum", był twórcą dzieł o wysokiej jakości artystycznej, ale przeznaczonych niemal wyłącznie dla elity intelektualnej. Bloy, zżyty z proletariatem, pisał jednak językiem społecznie prawie zupełnie nieczytelnym; jego dwie powieści odrzucone zostały przez mieszczaństwo, a „warstwy niższe" przyjąć ich nie mogły. Bernanos stał się popularny dzięki jednej właściwie powieści, inne jego utwory przyniosły nazbyt wielkie obciążenia psychologiczne, zmąciły się w nich proporcje między „sztuką" a „filozofią". Głębokie intelektualnie arcydziełka Saint-Exupéry'ego nie wydają mi się również dostępne w swej większości dla przeciętnego odbiorcy. Właściwie tylko Van der Meerscha nie ominęła łaska rzeczywistej, głębokiej, rzetelnej popularności. Czy zawsze zasłużonej?

„Ciała i dusze" mogą udzielić wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie. Powieść, w którą Van der Meersch włożył najwięcej pasji moralnej, ładunku intelektualnego i szlachetnej intencji — znalazła się w witrynach księgarni z przetrąconym kręgosłupem artystycznym. Pozostały zadatki na świetną powieść, to, co Perret w odniesieniu do architektury nazywał „pięknymi ruinami", ale duża ilość literackiej łatwizny, drugorzędnego materiału obserwacyjnego nie pozwala, aby wysoka jakość fragmentów mogła zadecydować o całości. Daleko jej do imponującej jedności konstrukcji, myśli, nastroju najlepszej chyba powieści Van der Merscha „L'Empreinte de Dieu" („Piętno Boże"). Czy autorowi zabrakło perspektywy, tych kilku kroków wstecz, aby móc dokonać oceny poszczególnych wątków, postaci? Czemu nie wyrzucił w ostatniej korekcie całego banalnego, taniego wątku romansowego Fabiany i pana ministra Guerran, czemu nie oczyścił pięknego stosunku uczuciowego gruźliczki Eweliny i dr Michała z naiwności przypominających literaturę typu Rodziewiczównej? Wątki „ściśle" lekarskie przysłaniają często u Van der Meerscha sprawy osobiste bohaterów; tło, klimat, myśli rzucone tu i ówdzie pozostają często dłużej w pamięci od samych postaci. W ogóle ta dziwna powieść staje się świetna tam, gdzie śmierdzi szpitalem, wonią medykamentów, jadła i ludzkiego potu, gdzie brutalnie rąbie prawdę w oczy, gdzie wpada w tzw. potocznie naturalizm. To, czego nie wybaczylibyśmy innemu twórcy, tutaj staje się dobrą literaturą. Tam natomiast, gdzie pisarz pragnie uderzyć w półtony, wygrać swoją sprawę na nutach liryzmu czy półcienia — talent jego kurczy się i zamiera, aby za chwilę, w innym miejscu znowu rozbłysnąć pełnym blaskiem. Potykając się co krok odnajdujemy świetne sceny, drapieżne obserwacje, doskonałe sformułowania. Okazuje się, że rozrzucono tu wiele doskonałego budulca.

Ale po zamknięciu książki trzeba przyznać, że zawarła ona wielkie bogactwo intelektualne. Czytelnicy przyzwyczajeni do książek „traktujących o życiu szpitalnym", obcując z ludźmi uwikłanymi w problemy gorączki — basenu — zastrzyku, tutaj nagle stają twarz w twarz ze sprawami ostatecznymi. Bo gdzież są zresztą tutaj ci poczciwi i biedni chorzy, nad którymi autorzy pochylali się z miną pełną współczucia. Przeistaczają się w potworną zgraję, na pół zwierzęcą, obłąkaną lękiem przed śmiercią. Szumowiny zebrane z dna miejskiej nędzy, odpadki z wielkiej maszyny kapitalistycznego państwa. Dla tych ludzi nie ma znikąd moralnego ratunku, nawet oddziaływanie księdza jest bardzo ograniczone, bo przecież iluż z tych ludzi utraciło już wrażliwość na pociechę religii. Jednym człowiekiem, którego słowa nie mijają obojętnie, ale są wysłuchiwane z najwyższą uwagą jest właśnie lekarz, ostateczna wyrocznia. Ale czy z tej strony mogą spodziewać się czegoś więcej poza suchym spełnieniem obowiązku! Czy lekarz wykorzystuje chociaż w pełni swoją wyjątkową sytuację, czy usiłuje uczynić chociażby gest pomocy w stosunku do istnień skazanych na zagładę?

Wielka szkoła lekarskiej i ludzkiej obojętności! Największą wściekłość we francuskim świecie lekarskim wywołało właśnie to, że Van der Meersch odsłonił kulisy dojrzewania lekarzy — hien, lekarzy — egoistów. To nie wystarczy pokazać, j a k spełniają swe obowiązki, trzeba jeszcze powiedzieć, i l e musieli zapłacić ze swą „karierę", ile upokorzeń kryje w sobie mechanizm zdobywania za wszelką cenę poparcia profesora, absolutnego pana przyszłości naukowej każdego lekarza...

Jest w tej powieści inna scena, przerażająca i wielka właśnie swą brutalnością i naturalizmem. Oto operacja jakiejś ubogiej kobiety, zarażonej weneryczną chorobą. Leży teraz wydana na łup chirurgicznego noża i ciekawości asystujących studentów. Niegdyś ciało jej budziło pożądanie, obecnie przypomina, jak mówi autor, „rozpłatane zwierzę zwisające na rzeźnickim haku". Chirurg dzieli się z obecnymi uwagami na temat owego „przypadku". I nagle z ust operowanej wydobywa się jęk, rozpaczliwa skarga, zaczyna bezładnie opowiadać o tragicznych okolicznościach, które przywiodły ją do tego stanu. Wszyscy zrozumieli nagle, że przerwała się granica określająca zakres działania medycyny, że nagle chirurg swym skalpelem zaczyna wchodzić w jakąś nieznaną dziedzinę człowieka. Nazajutrz cała grupa przechodzi obok łóżka chorej, spoglądając na nią z niewytłumaczonym zażenowaniem, ale nikt nie rzuci jej nawet zwykłego, ciepłego słowa. Nie wypada. Jeden z lekarzy ukradkiem, w pewien czas później udaje się do operowanej, aby wyrazić jej swe współczucie — ale dowiaduje się, że właśnie umarła...

Umarła na prawach „ciekawego przypadku". Ktoś, kto dostrzegł, że przypadkiem tym był człowiek, nie wyciągnął w porę wniosków z tego odkrycia.

3

POWIEŚĆ Van der Meerscha posiada swoje wewnętrzne piętra, swoją hierarchię ważności ludzi i zagadnień. Cała galeria postaci lekarskich: lepszych i gorszych, chciwych i ofiarnych, zdolnych więcej lub mniej, każda z nich przynosi z sobą nowy problem, a jednak do „sedna sprawy" dochodzimy dopiero wtedy, gdy na widowni ukazują się sylwetki „mandarynów" lekarskich, „kapłanów wiedzy" — profesorów...

Literatura nie od razu pojęła, że postać lekarza może być wyznacznikiem spraw niezwiązanych ściśle Z jego zawodem. Zrazu pisarze, którzy jak Montaigne, Molière czy Lesage mieli osobiste porachunki z medycyną — wkładali cały swój temperament w walkę z mitem lekarza-maga, w obalenie legendy o wyjątkowej wiedzy człowieka pełniącego tę funkcję. Commedia dell' arte ukuła szablon: lekarska czapka i płaszcz stały się dlań symbolem nadętej pychy i głupoty. Ale w czasach nam bliższych lekarz zaczyna odgrywać większą, niejako „służebną" rolę w literaturze. Balzak pisze na jego cześć poemat prozą, czyniąc swego wiejskiego lekarza niemal apostołem, realizującym najszczytniejsze posłannictwa moralne[3]). Później postać lekarza urosła do miary symbolu, reprezentanta określonej postawy intelektualnej, przekonania o swej ponadmoralnej pozycji. Człowiek, który „włada", „panuje" nad drugim człowiekiem z racji przewagi wiedzy, świadomości tajemnicy jego ciała — czyż to nie kopalnia obserwacji obyczajowych, psychologicznych, etycznych. Do miary symbolu urasta sylwetka dr Behrensa z „Czarodziejskiej Góry" Manna, „mędrca" panującego świetnie nad psychiką swoich pacjentów. U nas, za próbę nakreślenia takiej postaci można uważać dr Tamtena z niemodnej już bardzo powieści Choromańskiego „Zazdrość i medycyna". W „Ciałach i duszach" Van der Meerscha będą to profesorowie medycyny: psychiatra Doutreval i chirurg Géraudin.

Gdyby nie ów „pech", wyjątkowa „umiejętność" autora zaprzepaszczania świetnych możliwości, lub może brak oddechu pisarskiego tuż przed metą — te dwie postaci mogłyby być jednymi z najwnikliwszych sylwetek lekarzy we współczesnej literaturze europejskiej. Szanse te w dużej mierze zostały zaprzepaszczone. Niemniej pozostało jeszcze w zarysie tych postaci wiele pociągnięć piórem śmiałych i celnych. Dzisiaj zrozumiałych dla nas w jeszcze większym stopniu niż niegdyś. Bo przecież wydane kilkanaście lat temu „Ciała i dusze" już wtedy zobrazowały na przykładzie tych dwu świetnych fachowców wielką klęskę intelektualistów — „mandarynów". Oczywiście Simonie de Beauvoir, autorce znanej powieści pod tym tytułem, chodziło obecnie głównie o klęskę polityczną i ideową. Van der Meersch zajął się ich klęską moralną.

Czytając „Ciała i dusze" po „Mandarynach" wydaje się, że odnajdujemy znajomych, chociaż w powieści francuskiej autorki lekarze nie występują. Ale prof. Doutreval mógłby być przyjacielem pisarza Dubreuilha. Wytworny, wrażliwy na podniety zmysłowe, odgrodzony od świata pancerzem swej trzeźwej, wyzbytej z uczuciowych słabości „filozofii życiowej". Wiedza staje się w jego ręku instrumentem zapewniającym sobie uprzywilejowane miejsce w społeczeństwie. Nawet wtedy, gdy głoszone przezeń teorie okazują się fałszywe i przynoszą spustoszenia miast pomocy.

Prof. Doutreval jest sam miarą moralną dla siebie i dla swoich czynów. Udrapowany w szatę „lekarza - uczonego", zapewniającą mu przez dłuższy czas nietykalność, walczy o pożywkę dla swej ambicji, o utrzymanie swego nazwiska na tym samym piedestale. Ale oto wielkie nieszczęście, cierpienie, zrywa z niego maskę spokoju i chłodnej refleksji. Pochylając się nad ciałem zmarłej córki, sławny profesor zastanawia się, że jeżeli poza materią nie ma nic, jeśli całą psychikę jego ukochanej Marietty można by streścić we wzorach chemicznych, określających reakcje zachodzące w korze mózgowej — to cały jego ból nie ma sensu, to co w ogóle ma sens? Natomiast prof. Géraudin nie zadaje sobie tego pytania wprost, ale wie, że sens ma dla niego tylko on sam widziany i oceniany oczyma innych ludzi, żadne wartości, którym można by służyć, nie istnieją. Wszystkie, jakiekolwiek istniały, obalił mieszczański sceptycyzm racjonalistyczny. Trudno znaleźć cel życia po wielkiej „rzezi bogów". W wartości spirytualistyczne, w etykę, sumienie ów rozsądek kazał zwątpić niegdyś — w „ludzkość", „społeczeństwo", „dobro ogółu" i tym podobne abstrakcje — obecnie. Cóż więc zostaje? W obliczu starości, okresu nieuniknionych rozliczeń wielki chirurg kapituluje. Popełnia samobójstwo w swoim pokoju, przy otwartym głośniku radiowym. „Grało tak od trzech dni— pisze autor. — Zagłuszyło ostatnie rzężenie konającego. Nadawało komunikaty, koncerty, muzykę taneczną, rozrywkową, reportaże z zabaw, śmiech, zapomnienie..."

Zapomnienie! Wysiłki intelektu ludzkiego, który w ciągu wieków cierpliwie opracowywał świat i życie, upraszczał, segregował robiąc wrażenie wielkiego zapominania o grozie życia czekającej tuż obok. Gdy się czyta materialistów z kręgu Wielkiej Encyklopedii lub niezbyt wnikliwych katechetów — świat wydaje się niesłychanie prosty i przejrzysty jak składanka z klocków, gdzie każdy fragmencik ma wyznaczone z góry miejsce. Lecz każde uderzenie cierpienia wali w gruzy myślowe konstrukcje. Ginie również spokój prof. Doutrevala, każe mu zadawać wszystkie pytania od początku, oburzać się na grozę życia, na okrucieństwa przyrody. Każe mu odtrącać myśl o możliwości istnienia Boga, twórcy równie ponurego „państwa". Równocześnie podsuwa myśl, czy nie jest On właśnie tym protestem przeciw okrucieństwom świata? Czy nie jest nakazem oparcia go na innych zasadach? Wyrywa z jego ust ten wspaniały okrzyk: jakie strasznym zjawiskiem jest człowiek, ożywiona materia, która zaczęła kochać?

4

TEN właśnie okrzyk, ta myśl jest kwintesencją całej książki. Van der Meersch napisał powieść o wielkiej lub, jeśli wykorzystać znane słowa Brechta, o „strasznej pokusie dobroci". Pokusie omijanej starannie i z lękiem, aby nie „chwyciła", nie „przytrzymała", nie skierowała potoku życia innym łożyskiem. Dla wielu, być może, zdanie to nie zabrzmi przekonywająco. Wiedząc, że Van der Meersch daleki był od rewolucyjnego rozumienia przemian społecznych i tylko na drodze „serca" widział możliwość wyłączenia się jednostki z antyhumanistycznego systemu tyranii pieniądza — zbędą poglądy pisarza pobłażliwym uśmiechem.

A jednak właśnie teraz, po przetoczeniu się kataklizmu drugiej wojny światowej zdolni jesteśmy zrozumieć lekcję „Ciał i dusz". Powieści o świecie współczesnym, o klęsce cywilizacji materialnej, a może również martwej, archiwalnej kultury, która nie jest w stanie stworzyć nowego kształtu świata. Wspaniałe wyposażenie lecznicy w najnowocześniejszy sprzęt nie oznacza jeszcze, że będzie ona naprawdę uzdrawiać ludzi. Doskonałe przygotowanie fachowe lekarza nie przesądza jeszcze, że będzie r z e c z y w i s t y m lekarzem. To jest tylko połowa problemu. To w nim samym musi dokonać się wybór, czy pozbędzie się leku pozostawienia ludziom czegoś więcej, poza konwencjonalnym gestem „urzędowej" pomocy. Wygranie walki o chleb, pracę, unormowanie stosunków ekonomicznych nie przesądza jeszcze wygrania walki o moralność, czyli po prostu o najwyższą zasadę, o sens ludzkiej egzystencji.

Przeciętny czytelnik nie wie jednak, że książka ta nie jest jedynie powieściowym traktatem moralistycznym, jest również dziwnym, bolesnym i nieprawdziwym wyznaniem. Nieprawdziwym, bo przecież optymistyczne dzieje dr Michała porzucającego swój dom i sławnego ojca dla ubogiej gruźliczki Eweliny, której m u s i a ł i pragnął być wierny — są odwróconym obrazem historii życia samego pisarza. To on właśnie zapragnął odejść od swojej mieszczańskiej klasy, aby zbliżyć się do nieznanego świata ludzi pracy, w którym szukał uczuć silnych i prostych, przejrzystych charakterów dalekich od hipokryzji mieszczańskiej inteligencji. „Łącznikiem" między tymi dwoma kręgami społecznymi była podobnie jak i w powieści kobieta. Niestety, eksperyment się nie powiódł: pisarz odszedł od „swoich", a środowisko robotnicze nie zaadoptowało go nigdy. Małżeństwo jego stało się pasmem udręki, nieporozumień i zgryzot. Zdobył się jednak na wysiłek prawdziwie heroiczny: mimo swoich osobistych klęsk karty „Ciał i dusz" przepoił wiarą w niezłomną siłę uczucia obalającą wzniesioną przez ludzi przegrodę. I dlatego po zamknięciu tej powieści odnosi się jeszcze jedno wrażenie, że jest ona krzykiem, wołaniem człowieka, który odszedł: „Człowieku, po prostu człowieku, zatrzymaj się, ja i ty w równej mierze potrzebujemy pomocy. Nie odchodź".

---

[1]) Maxence Van der Meersch, „Ciała i dusze"; Wyd. Pax, Warszawa 1955.

[2]) Jeden z najwybitniejszych, żyjących dramaturgów włoskich. Jego sztuka „Le cas interessant" (Ciekawy przypadek) przetłumaczona i „przedstawiona" publiczności paryskiej przez Alberta Camusa jest doskonałym przykładem wykorzystania problemów medycznych jako pretekstu do wypowiedzenia szeregu sądów ogólnych o współczesności i losie człowieka zagubionego w społeczeństwie.

[3]) Odczytywany dzisiaj „Médecin de campagne" jest źródłem wesołości. Bohater książki, dr Benassis nie tylko leczy ludność, ale również... buduje drogi, nowe osiedla, podnosi handel i drobny przemysł. Nikt w to dzisiaj nie uwierzy. Niemniej jedną słabość Van der Meersch dzieli z Balzakiem (i z szeregiem innych pisarzy również) — mianowicie typowe dla niefachowców piszących na tematy fachowe opętanie jakąś pseudonaukową teorią. U Balzaka było to przekonanie o decydującym wpływie klimatu na rozwój chorób psychicznych, m. in. opisywał całą kretyńską wieś, rezultat wpływów atmosfery. Van der Meersch kazał swemu idealnemu dr Domberlé na wielu stronach propagować swoją ryzykowną teorię dietetycznego leczenia gruźlicy.

---

roli margrabiny Cibo, gdyż nie ona dźwiga na sobie ciężar odpowiedzialności za „główny ton" całego przedstawienia, niemniej sądzę, że poszła we właściwym kierunku, nadając tej postaci rysy zdecydowane, jasne i przekonywające.

4.

BYĆ może spotkam się ze zdaniem, że postaci Lorenzaccia w ogóle nie można scharakteryzować inaczej bez jej zubożenia, że wystawienie dramatu Musseta z natury rzeczy musi zawierać w sobie nieco „nadętości" i chłodu ożywionego, barwnego gobelinu. Chciałbym jako argument w dyskusji przytoczyć festiwalowe przedstawienie „Hamleta" w angielskim teatrze Southwark Players. Przedstawienie to, generalnie, było bardzo niedojrzałe od strony aktorskiej, natomiast uwagę skupiał młody wykonawca głównej roli (nazwiska, niestety, nie pamiętam) swoim oryginalnym odczytaniem uświęconego tradycją tekstu. Nie miał w sobie nic z przeintelektualizowania Oliviera, nie starał się wykorzystywać w swej pracy mnóstwa najbardziej zawikłanych teorii, jakie w ciągu stuleci obrosły arcydzieło Szekspira, był po prostu chłopcem, którego przywaliło zło świata, który miast zdobywać trudną wiarę w moralny sens i ład świata — traci ją niemal na progu życia. Wielki monolog brzmiał bardzo naturalnie i zrozumiale, nie żadna łamigłówka filozoficzna i psychologiczna, po prostu wyraz ogromnej goryczy, zwątpienia i żalu. Gdyby Wołłejko zrezygnował nieco z Hamleta i Brutusa, a w większej mierze stał się chłopcem, którego wybujałe, młodzieńcze marzenia zaprowadziły na manowce i który zbyt późno zapragnął odzyskać szacunek do samego siebie — byłby chyba bliższy nowoczesnego pojmowania sztuki aktorskiej.

„Hamleta" w teatrze angielskim wystawiono na dwóch poziomach scenicznych, przy tym szerokie schody łączyły obie płaszczyzny. Operowano jedynie światłem i drobnymi rekwizytami wnoszonymi przez służących. Gdy na górnym poziomie kończyła się jedna scena, natychmiast na dolnym rozpoczynała się nowa, tak, że widz nie tracił poczucia następstwa czasowego, a akcja toczyła się wartko, całość przedstawienia rozbijała jedna tylko przerwa. Nie zamierzam stawiać tego rozwiązania (nie nowego zresztą i często stosowanego) jako bezpośredni wzór twórcom warszawskiego „Lorenzaccia", nie to jest rolą krytyka, należy jednak zdać sobie sprawę, że jest to przedstawienie długie, niejako rozmieniające się na drobne efekty, a nie pozostawiające jednolitego obrazu. Czy nie należało w jego wypadku poszukać jeszcze innej drogi, może zbliżonej do rozwiązania wspomnianego powyżej?

5

OSTATNIO, po paryskim festiwalu teatralnym zarysowały się niejako dwie koncepcje teatru — jedna, reprezentowana przez „Berliner Ensemble", druga przez T.N.P. Pomiędzy nimi toczy się jakiś cichy dialog na temat współczesności teatru. Wydaje mi się, że zasadniczo Brecht w swym powrocie do przewrotnego pojmowania formy i roli teatru, do postaci określonych zdecydowanie, u zaraziście, do symbolicznej „maski" — jest na drodze wybiegającej dalej w przyszłość. Dla nowoczesnej inscenizacji dramatu historycznego płynie stąd nauka absolutnego zerwania z „muzealnością", z wiernością wobec kronikarskiej historyczności — natomiast wydobycia każdorazowo sensu dzieła absorbującego współczesnego widza, owego najszerzej pojętego „morału" i tworzenia ludzi bezpośrednio oddziaływających na widownię.

Realizacja „Lorenzaccia" w Teatrze Polskim dowiodła raz jeszcze, że mamy w tym teatrze zespół świetnych reżyserów, aktorów, scenografów. Czy jednak przy wskrzeszaniu arcydzieł dramatu historycznego i romantycznego nie należy zrobić jeszcze jednego, śmielszego kroku naprzód?

Stanisław Zborowski

Rys. Jadwiga Wojciechowska

M. ISSAKOWSKI

Idziesz przez kraj

Idziesz przez kraj. I żadna nie da rady
Tu siła, która by przeciwko woli twojej szła.
Przed tobą milkną groźne wodospady
I lodowata ustępuje mgła.

Idziesz przez kraj. I twoje sprawia słowo,
Że swój zmieniają bieg prastare rzeki,
I morze niesie morzu falę bystrogłową,
I morze z morzem jest w przyjaźni już na wieki.

Idziesz przez kraj. I wszystkie swoje drogi
Przed tobą rozpościera ziemia — matka nasza,
I pola ci dywanem ścielą się pod nogi,
I napotkana wieś w cień wielkich lip zaprasza.

I nawet tam, gdzie jest nieznany zapach trawy,
Gdzie znikły rzeki, wyschły stawy,
Przejdziesz — i nim wystygną twoje ślady,
Szumiąc, dźwigają się zielone sady.

Od gwiazd i tęcz, co kiedykolwiek lśniły,
Piękniejsze twoje ognie, świecące nad drogą.
Idziesz przez kraj. I żadne w świecie siły
Przeszkodzić w drodze twej nie mogą.

Przełożył JAN SZCZAWIEJ

GRACJAN KOZŁOWSKI

MR. BARLEYCORN na wczasach

„...Zarówno jak do słabych i wyczerpanych, zwraca się on do zbyt silnych, do tryskających nadmierną żywotnością, do znudzonych bezczynnością. Wyciąga swe szpony po człowieka, bez względu na jego stan... Wymienia szarą rzeczywistość na błyskotliwą złudę, aby w końcu oszukać tych wszystkich, którzy mu się oddali".

J. London

TEGOROCZNA wiosna, już nie tylko kaprysna, ale wręcz zaskakująca swym przenikliwym chłodem dała się wszystkim we znaki. Ale chyba najbardziej nam — wczasowiczom. Wisła jest niewątpliwie jednym z najbardziej uroczych zakątków kraju, jednakże przy ciągłych deszczach i dojmującym zimnie trudno było nam, uczestnikom majowego turnusu, podziwiać piękno beskidzkiego krajobrazu.

Nasz dom wypoczynkowy, stojący nieopodal szosy wiodącej na Baranią Górę, był prawie pusty. Cóż bowiem znaczy czternastu wczasowiczów na ośrodek obliczony na sto kilkadziesiąt osób... Sezon dopiero się rozpoczynał, a my byliśmy pierwszym turnusem. Złośliwość aury dochodziła do tego, że ranek wstawał słoneczny i wszystko, co żyło, natychmiast po śniadaniu ruszało w góry, aby wrócić za parę godzin w stanie godnym pożałowania. Dowcipnisie, a nie brak ich jest wiadomo na żadnych wczasach, twierdzili, że ośrodek zamiast wypożyczalni leżaków i rowerów powinien uruchomić wypożyczalnię parasoli i kaloszy. Inni, bardziej cisi i zrezygnowani, czytali książki, pisali listy, grali w karty — wszystko przy akompaniamencie niezmiennie pluskającego deszczu.

Czyściutki i estetycznie urządzony trzyosobowy pokój na parterze wypadło mi dzielić z młodym (i trzeba przyznać — urodziwym) szoferem PKS-u Wacławem Heśko i urzędnikiem z Warszawy — człowiekiem starszym o dość szczególnej powierzchowności — Janem Żytniowskim. O ile atletycznej budowy i pogodnego usposobienia chętnie widziany przez grono młodych wczasowiczek „Wacuś" nie stanowił dla mnie żadnej zagadki psychologicznej, o tyle pan Jan był raczej typem dziwaka i abnegata. Zastanawiałem się, co właściwie tego dobrze już steranego życiem starego mantykę skłoniło do wyjazdu na wczasy. Na wycieczki nie chodził. Czas między posiłkami spędzał przeważnie w pokoju leżąc w ubraniu na łóżku w swej ulubionej pozycji, to znaczy na wznak z podłożonymi pod głowę rękami. Dopiero po kolacji przychodził do świetlicy na partyjkę szachów. Ponury i milczący przez cały dzień, pod wieczór stawał się nieco bardziej ożywiony i nawet na swój sposób — towarzyski. Z kwaśnym uśmieszkiem na szczurzej twarzy przyglądał się tańczącym, bębniąc palcami po stoliku. Czasem brał udział w rozmowie, wypowiadając zdanie jakoś paradoksalnie różniące się od pozostałych wypowiedzi. A potem nagle znikał. Jeśli chodzi o tzw. pokojowe współżycie naszej trójki to zauważyłem, że Żytniowski odnoszący się z wielką rezerwą do mnie, chętnie rozmawiał z szoferem Heśką. Rozmowy te urywały się wraz z moim wejściem do pokoju z czego nie wynikało bynajmniej, jak się przekonałem, że mówiono o mnie, ale po prostu ci dwaj, tak przecież różniący się środowiskiem ludzie znaleźli jakiś wspólny język, który ich zbliżył do siebie. Ostatecznie, cóż mnie to mogło obchodzić... Miałem tu paczkę swych znajomych, z którymi wędrowaliśmy po górach, czasem jeździliśmy do „Centrum" na kawę.

Aż pewnego wieczoru...

Przy kolacji zapowiedziałem swoim współlokatorom, że wrócę później, bo wybieramy się do kina. Jednakże eskapada nie doszła do skutku i w jakąś godzinę później wróciłem do domu wczasowego. W naszym pokoju zastałem Żytniowskiego i Wacusia przy butelce wina. Chciałem się wycofać, ale obaj dość uprzejmie mnie zatrzymali. Że niby nie ma powodu, żebym nie wypił z nimi szklaneczki wermutu, że przecie mieszkamy tu razem i coś w tym guście. Zostałem więc. Nalano mi szklaneczkę. Łyknąłem sobie potężny haust... Okazało się, że wermut był „zakrapiany" spirytusem. Obaj panowie wesoło śmieli się z mojej miny. Nie jestem zrzędą ani stuprocentowym abstynentem, ale nie lubię głupich kawałów. Wyraziłem im to w słowach dosyć ostrych. Przeprosili mnie natychmiast, a pan Żytniowski oświadczył, że teraz, skoro już znam konsystencję owego trunku, nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy się nim we trójkę delektowali. Początkowo chciałem wyjść, ale przemogło uczucie zaciekawienia, jak zachowają się obaj naprawdę niedopasowani do siebie dżentelmeni pod wpływem większej dawki alkoholu którego spożywanie jest — jak wiadomo — surowo wzbronione w domach wczasowych. Zauważyłem, że obaj wypili już sporą ilość tego „wermutu", co dawało mi możność markowania w dalszym piciu. „Wacuchna" był silnie zaczerwieniony i palił papierosa po papierosie, a Żytniowskiemu świeciły oczy jakimś zgoła szatańskim blaskiem. Szofer Heśko podjął przerwaną moim wejściem opowieść...

— No i tego, panie Janie, co to ja chciałem... aha, że inżynier zawołał mnie do siebie i mowi, że jestem najlepszym kierowcą w Dyrekcji, rozumie pan, w całej Dyrekcji. Że znaczy się przejechałem 180 tysięcy bez głównego remontu... To ja mu, panie, powiadam, a jak zechcę to i 200 też przejadę... No i tego... mam 200 zrobionych. Premię, a jakze, wypłacili, pensję też mam nieliche. Ale co z tego wszystkiego! Panie Janie, powiedz pan, na co mi to wszystko. Mówiłem, prosiłem, tak i siak, a ona nie i nie... Mieszkanie, mówię, dostanę, forsy zarobię... Nie i nie, szofer, mówi, jesteś, a ja mogę wyjść za technika... No, popatrz pan...

— Ano z kobietami bywa różnie — rzekł sentencjonalnie Żytniowski rzucając na mnie spojrzenie z ukosa. — Kochany Wacuchna, moim zdaniem, to pan naprawdę niepotrzebnie się przejmuje... Cóż to, mało w Polsce kobiet. Chłop pan jesteś na schwał, nie chce ta, to znajdziesz pan inną... Nasypali piasku... No, to raz go...

Teraz sobie przypomniałem, że o Wacławie Heśko czytałem niedawno w prasie... Rzeczywiście został wyróżniony jako doskonały kierowca. Było nawet zdjęcie. Heśko uśmiechnięty wychylał się z szoferki swego „Leylanda". Zaniepokoiła mnie jego skłonność do alkoholu. Bądź co bądź był to młody chłopak, mający duże osiągnięcia w swej pracy zawodowej. Z drugiej jednak strony nie było jeszcze nic tragicznego w fakcie, że Heśko w czasie urlopu łyknie sobie trochę. Wydawało mi się, że ci dwaj często urządzają sobie takie biesiady. I nie wiem dlaczego zacząłem podejrzewać, że stary Żytniowski jest inicjatorem tych dość ponurych libacji.

W pewnym momencie Heśko oparł się o stół i najwidoczniej zasnął. Spojrzałem surowo na Żytniowskiego, który prócz irytującego błysku w oczach, niczym nie zdradzał jakiegoś stanu podchmielenia.

— No cóż pan tak na mnie patrzy? — odezwał się drwiąco. — Chłopczyna zasnął, to i dobrze.

— Dobrze czy nie dobrze, ale trzeba go ulokować w łóżku — rzekłem ostro.

Żytniowski wzruszył ramionami i siedział dalej. Wstałem z krzesła i zaprowadziłem Heśkę na jego posłanie, z trudem zdjąwszy z niego marynarkę i buty.

— Panu, widzę, nie podoba się, że my tu tak sobie pijemy? Można złożyć skargę do kierowniczki, dlaczego nie — zaśmiał się po swojemu Żytniowski i duszkiem wychylił szklaneczkę.

— Nie chodzi o skargę, tylko czy to ma sens spajeć tak chłopaka? No, niechże pan sam powie — zacząłem ugodowo.

Żytniowski skierował spojrzenie w moją stronę.

— Sens, sens! Ha, ha, ha! A cóż na tym świecie w ogóle ma sens? Przeżyłem czterdzieści dziewięć lat na tym bożym świecie i nie znalazłem sensu. Ot, co... Sens ma tylko śmierć... Lekka, przyjemna jak sen, śmierć...

Czułem, że jeszcze chwila, a nerwy mnie poniosą i powiem mu coś na temat jego mętnej filozofii. Postanowiłem się opanować. Z tym panem nie ma co prowadzić dyskusji.

W milczeniu ułożyliśmy się na spoczynek. Z drugiego końca pokoju dochodziło ciężkie, urywane chrapanie Heśki. Długo nie mogłem zasnąć. Zauważyłem, że Żytniowski też nie spał. Z rękami pod głowę leżał jak zwykle — na wznak. Po pewnym czasie odwrócił głowę w moją stronę — nasze łóżka stały równolegle do siebie. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Wydało mi się, że sprawdza, czy śpię. Kiedy zrobił to po raz drugi, nie miałem już wątpliwości. Leżałem nieruchomo, posapując z lekka. Spod przymrużonych powiek bacznie obserwowałem leżącego wciąż Żytniowskiego. Cóż on, u licha, zamierza?

Wreszcie podniósł się na łóżku. Opuścił nogi na podłogę. Wstał. Nie tyle dojrzałem, ile domyśliłem się, że wyjmuje coś ze stojącej pod łóżkiem walizki. Z trzymanym w ręku przedmiotem podszedł powoli do stołu... Brzęknęło szkło. Początkowo sądziłem, że zażywa lekarstwo. Nie... To było co innego, czego się zupełnie nie spodziewałem. Wstrząśnięty do głębi — chciałem zerwać się i... nie wiedziałem, co mam dalej zrobić. Zabronić mu? W imię czego? Krzyczeć, napiętnować? No, cóż? Śmieszna historia. To nie był nowicjusz, sztubak.. Zresztą zachowywał się cichutko, co było tym dziwniejsze, że już przecież wieczorna libacja powaliła z nóg tak potężnego mężczyznę jak Wacław. Wszystko to razem było zarówno, wstrętne, jak niesamowite.

Żytniowski już dawno znieruchomiał na swym posłaniu, a ja długo przewracałem się na boki. Wreszcie już prawie o świcie zasnąłem ciężkim, męczącym snem.

*

NIE chcąc sobie psuć urlopu nie odzywałem się w ogóle do Żytniowskiego, stwierdziłem jednakże, iż jego zażyłość z szoferem Heśką jakby się urwała. Heśko był zawstydzony. Mało pamiętał z owego fatalnego wieczora, ale zdawał sobie sprawę, że o własnych siłach nie poszedł spać. Zresztą w drugim tygodniu pobytu w Wiśle zupełnie wyraźnie zajął się pewną Helą z pokoju Nr 181. Zainteresowanie było najwidoczniej obopólne. Razem chodzili na spacery, nie rozłączali się na ogólnych wycieczkach, a w niedzielę przykładnie pojechali do kościoła. Wobec niedawnych cierpień miłosnych młodego przodownika pracy — było to w jego życiu zjawisko niewątpliwie korzystne.

Po paru dniach pogody, pod koniec turnusu deszcz przystąpił do ostatecznego pognębienia nas z nową energią. Instruktor kulturalno-oświatowy dwoił się i troił, żeby nieco rozerwać niepocieszonych wczasowiczów. Wyświetlał przezrocza o rzadkich ptakach i przygodach Robinsona Kruzoe, organizował konkursy czytania, wspólne śpiewanie piosenek, nie mówiąc już o tradycyjnych wieczorkach tanecznych.

Ale któregoś dnia musiał wyjechać do miasteczka, a w dodatku któryś z wczasowiczów „zmajstrował" radio. Dzień wlókł się godzina za godziną, jak zdychająca szkapa dorożkarska. Po kolacji część towarzystwa rozeszła się do swoich (a kto wie, może i nie swoich) pokoi, część udała się do pobliskiej knajpki na wino, a reszta zebrała się w tzw. małej świetlicy, gdzie były gazety i szachy. Pan Żytniowski grał sobie najspokojniej z jakimś drugim starszym jegomościem. Wacuś Heśko rozglądał się za swoją Helą, ale jej na sali nie było. Ja przeglądałem czasopisma, obserwując jednocześnie zebranych. Nagle ktoś zainicjował konkurs na najciekawsze opowiadanie z własnego życia. Prawie wszyscy skupili się wokół pierwszego opowiadającego, który mówił o swoich przeżyciach w czasie powstania warszawskiego.

W pewnym momencie dostrzegłem, że Żytniowski, który właśnie skończył swą partyjkę, skinął palcem na Heśkę. Kiedy Wacuś zbliżył się do niego, klarował mu coś na ucho. W wyniku tej konsultacji Wacuś szybko opuścił świetlicę, a na obliczu odprowadzającego go wzrokiem Żytniowskiego dostrzegłem charakterystyczny uśmieszek. Potem z kolei wyszedł Żytniowski, ale ku mojemu zdziwieniu (sądziłem, że umawiali się do knajpki) — szybko powrócił. Był tylko jakby bardziej energiczny, a oczy nabrały świeżego blasku. Mimo wszystko nie podobało mi się to nagłe wyjście Heśki. Potem ktoś opowiadał jakąś ponurą historię z czasów okupacji. Kiedy skończył, najniespodziewaniej wystąpił Żytniowski.

— Pozwolę sobie przytoczyć tu państwu pewne zdarzenie, które w roku 1942 przytrafiło się memu przyjacielowi. — Żytniowski mówił powoli, ale intonacja jego głosu, szczególny wyraz jego przedwcześnie postarzałej twarzy, a nade wszystko ów zawsze denerwujący mnie błysk jego oczu od razu skoncentrowały uwagę wszystkich słuchaczy. — Mój przyjaciel Marek miał śliczną żonę i uroczego małego synka. Utrzymywał się z handlu, jak wiele osób w tym czasie. I ta troska o materialne zabezpieczenie rodziny wypełniała mu życie. Tymczasem jego żona należała do konspiracji, o czym on nawet nie wiedział. Trudno mi dziś sądzić Marka, czy robił dobrze czy źle, że handlował bimbrem, futrami, żółwiami i czym się dało, ażeby żonie ani synkowi niczego nie brakowało. Przed wojną ukończył wyższą szkołę handlową i teraz te wiadomości, w jakiś tragikomiczny sposób wykorzystywał. Żona oczywiście bolała nad tym, zapewne wolałaby go widzieć w szeregach walczących, ale było dziecko. Przecież kochali je oboje. Marek miał tysiące różnych auswajsów, dzięki którym poruszał się swobodnie po całej „G. G." Z czasem zaczął się domyślać, że jego Krysia żyje nie tylko sprawami domowymi. Z malutkim Krzysiem na ręku wędrowała szlakami, które miały przynieść wolność, a przyniosły... śmierć... Stało się bowiem to, co widocznie musiało się stać. Jeden z adresów był — jak się to wówczas mówiło — spalony. Pani Krysia i jej półtoraroczny synek — wpadli w ręce gestapo. Pomyślcie może państwo, po cóż im był potrzebny taki mały dzieciak. Otóż okazało się, że był potrzebny. Gestapo wiedziało, że pani Krysia zna szereg innych adresów, a jest takie piękne przysłowie, że przez serce dziecka trafia się do serca matki... No, oni to oczywiście po swojemu pojmowali. Zapowiedzieli pani Krysi, że po prostu zabiją dziecko, jeśli ona odmówi zeznań. I oto pewien, uzdolniony adept sztuki gestapowskiej, nadwiślańskiego pochodzenia, ująwszy Krzysia za nóżki potrzymał go trochę głową w dół, nabrał rozmachu — uczynił to wszystko bardzo pomału, ażeby jednak matka przemówiła — po czym... No tak... Pani Krysia nie przemówiła. Nie przemówiła i później, kiedy ją samą katowano. Aż do śmierci... Nie wiem, czy powiedziałem państwu, że przy tym „przesłuchaniu" obecny był również i mój przyjaciel Marek, do którego zresztą gestapo nie miało żadnego innego interesu, jak poglądowo wyjaśnić mu, czym grozi spiskowanie przeciw wielkiej Trzeciej Rzeszy... Prowadzący przesłuchanie urzędnik gestapo — kiedy był już po wszystkim, wyraził swe ubolewanie, że on, Marek, nie miał żadnego wpływu na zbrodnicze ...tak, zbrodnicze postępowanie swej żony i dla tego wobec Marka musi zastosować również pewien wymiar kary, a mianowicie wysłanie go na roboty przymusowe do Reichu... Ale, jak wnoszę z późniejszych słów Marka, przyjaciel mój zupełnie nie zwracał uwagi na to, co mu obwieszczono, bo umysł jego zajęty był jedną wyłącznie sprawą. Oto starał się utrwalić w pamięci sylwetkę a nade wszystko rysy twarzy owego — jak wspominałem już — adepta gestapowskiej sztuki, który spełniał w tej instytucji rolę tłumacza i kata, który —

rys. Roman Madeyski

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

W służbie rewolucji ludzkich serc

W SŁOWIE REWOLUCJA można wyróżnić dwa znaczenia — jedno bliższe ludzkiego rozumu, drugie — serca. Pierwsze znaczenie dźwięczy jak termin historyczny, cezura dzieląca okres dziejów, współczynnik refleksji polityka i działacza społecznego, element warsztatu naukowca. Drugie znaczenie słowa **rewolucja** jest bliższe ludzkiemu sercu, dźwięczy w nim jego śmiech — i płacz — wielka, życiowa nadzieja jednych — i klęska drugich, już nie jednostek, ale ich grup — klas społecznych. Słowo to — w porządku serdecznym — jest dla jednych przedmiotem czci i miłości, a dla drugich — obrazy i nienawiści—niemniej jest wyrazem, który musi się znaleźć w najbardziej osobistym słowniku każdego z nich.

Pisarzem w służbie tak pojętej rewolucji społecznej jest bez wątpienia Michał Szołochow. Z rewolucją zrosło się jakoś nierozerwalnie i życie autora „Cichego Donu" — i jego książki. Więcej: Szołochow potrafił przetłumaczyć prawdę rewolucji na sens własnego życia i język swoich książek, potrafił uwierzytelnić wartość tego tłumaczenia w oczach nawet najbardziej sceptycznych czytelników. Jeśli odrywają się oni od lektury „Cichego Donu" i „Zoranego ugoru" — a jest to lektura, do jakiej wraca się po wielekroć — słowa wytarte, wyświechtane przez częste użycie w żargonie publicystycznym zaczynają dla nich świecić nowym blaskiem, wabić zapomnianym kształtem i znaczeniem.

Utarło się mówić o niektórych twórcach: to klasyk literacki, od niego winni się uczyć młodzi pisarze jak patrzeć na świat, jak rozumieć historię, jak pomagać człowiekowi. Zdawałoby się — ot, slogan jak każdy inny — tyle tylko, że nadużyty przez krytyków literackich, a nie twórców akademijnych referatów. A jednak tegoroczna lektura utworów Szołochowa olśniła mnie słusznością takiego przydomku autora „Cichego Donu". Te książki — tak niewielkie, jeśli się zważy pięćdziesięcioletni trud w nie włożony — są orzeźwieniem dla każdego, kto walczy o wyższą jakość, o klarowną treść i kształt artystyczny naszej literatury współczesnej. Te książki orzekonują, że postulat przylegania formy artystycznej ściśle do treści naszych dni nie jest tylko pobożnym, nierealnym życzeniem.

Szołochow nie jest twórcą powieści historycznych — trzeba to powiedzieć na przekór tym, którzy pragnęliby całą zawartość jego dzieł odnieść do przeszłości i t y l k o do przeszłości. Szołochow pisze o ludzkim stosunku do rewolucji — więcej: o w r o g i m stosunku do rewolucji. Kiedy się czyta jego książki — aż dziw bierze, że pisarz tak nie ułatwia sobie zadania, tak konsekwentnie utrzymuje się na linii największego oporu. Po tym poznaje się wielkich pisarzy: że rzucają się w wir najbardziej ostrej, bezkompromisowej walki, i tutaj właśnie starają się rozeznać jej sens, prawdę, wartość. Później pisarz porządkuje, uzasadnia, warunkuje swoje doznania — ale już nigdy jego słowo, choćby najbardziej spokojne — nie ustrzeże się drżenia bitewnej pasji, zaciętości, woli zwycięstwa. I tylko tacy pisarze mierzą siły na zamiary...

Bądźmy szczerzy: nie podobna usprawiedliwiać — bo w tym jest często ton krytyckiego usprawiedliwienia — tematyki, klimatu utworów Szołochowa jego autobiografią. Powiada się: Szołochow napisał powieść o rewolucji nad kozackim Donem dlatego, że sam jest Kozakiem, brał często w opisywanych wypadkach historycznych udział, niesłychanie wiele zaczerpnął z autopsji. A, cóż by to było, gdyby Szołochow był przeciętnym, współczesnym (nie tylko polskim) pisarzem? Zużyłby swoje przeżycia na bajeczki dla dzieci i wspomnienia dla przyjaciół, no, na reportaże i artykuły publicystyczne i... pojechałby w teren szukać innego (lżejszego) tematu. Fakt! — jak często powtarza Dawydow w „Zoranym ugorze".

Aktem pisarskiej odwagi był chwyt, który w jakimś roboczym podręczniku dla pisarzy mógłby zaprawdę nosić nazwę „chwytu Szołochowa": wyszukiwanie prawdy rewolucji październikowej w życiu i walce jej wrogów. Za użycie takiego chwytu wiele słów gorzkich usłyszał autor „Cichego Donu" od krytyków. Pamiętajmy, że „Cichy Don" ukazywał się w prasie i edycjach książkowych częściami, że praca nad tym utworem przeciągnęła się aż do roku 1940. Jakże łatwo w takich warunkach zwichnąć ideę naczelną dzieła, poddać się sugestiom patrzących na całość z perspektywy części! Szołochow jednak od swego zamysłu nie odstąpił...

Trudno jest odnaleźć proces historii w życiu jednego człowieka. Trudniej, o wiele trudniej zrozumieć, pokazać ten proces w życiu wroga — wobec którego niełatwo powściągnąć wodze antypatii, nie dać folgi własnym, osobistym uczuciom. Ludzie, o których przeważnie pisze Szołochow w „Cichym Donie", o których mówi również w „Zoranym ugorze" — to ci, którzy strzelali do Szołochowa, walczyli przeciw niemu, jego towarzyszom, jego sprawie. W takich wypadkach autobiografia i autopsja nie pomaga — przeszkadza. A jednak autor „Cichego Donu" zrobił rzecz wielką, rzecz, która swą wartością należy nie tylko do talentu, ale i etyki pisarza: nie odebrał wrogom rewolucji, własnym wrogom — człowieczeństwa. Taką sprawiedliwość niełatwo uczynić ludziom, z którymi się walczy!

Jest w „Cichym Donie" ojciec głównego bohatera powieści, Pantelej Prokofijewicz Melechow. Groteskowa to postać, wroga, ot, taki mały Harpagon na skalę kozackiej stanicy. Gdyby nie to, że nad „Cichym Donem" śmiać się trudno — Pantelej wywoływałby na naszych twarzach uśmiech swym zabawnym skąpstwem i egoizmem. Jest tak moment w „Cichym Donie", kiedy Pantelej, niepomny niebezpieczeństwa, jakie na siebie ściąga, zamyka przed nosem drzwi powinowatemu, zbroczonemu krwią ludzi niewinnych, ofiar nieludzkiej, bezrozumnej zemsty. I właśnie wtedy Pantelej Prokofijewicz otrzymuje w oczach czytelnika rangę człowieka.

Tutaj właśnie tkwi sedno pisarskiego zwycięstwa Szołochowa. Czytelnik potrafi rozeznać sprawę słuszną i niesłuszną, sprawę rewolucji i kontrrewolucji — nie porządkując swoich doznań i uczuć według schematu. Właśnie po lekturze książek Szołochowa jest się zmuszonym do rozliczenia z opiniami o ludziach i sprawach ludzkich.

Zatem pisarskie zwycięstwo Szołochowa — to realizm w kreśleniu ludzkich sylwetek, a jego probierzem — stosunek powieściowych bohaterów do rewolucji. Nie ladą wnikliwości było potrzeba, by prawdę o rewolucji październikowej odczytać z przeżyć jej wrogów — więcej: by o tej prawdzie przekonać czytelników „Cichego Donu" i „Zoranego ugoru". Stało się tak dlatego, że stosunek ludzi do rewolucji nie jest u Szołochowa jednolity — bywa zato nierówny, kapryśny niełatwy dla jednoznacznej, bezwzględnej oceny — tak jak w życiu. Otóż to: Szołochow niezwykle delikatnie i mądrze przenosi człowieka z życia do literatury, potrafi zatrzymać się — gdy wiozi, że pisarska abstrakcja konieczna przy opracowywaniu materiału literackiego dosięga granicy publicystycznej tezy — schematu. Grzegorz Melechow zbliża się do rewolucji i oddala — osiągając wreszcie punkt, z którego już nie można dostać się na lewą stronę barykady, ale w żadnej chwili nie jest pozbawiony możności samodzielnej decyzji, nie jest bezwolną igraszką ślepych sił historii. Wydaje się że tutaj właśnie Szołochow utrafił w sedno, znalazł tajemnicę ożywienia literackiego bohatera: umiejętnie związał życie pojedyńczego człowieka z dziejami jego klasy społecznej, wyznaczył mu zakres działania w obrębie tej klasy.

Klasowość bohaterów literackich to jeden — zdawałoby się — z nierozwiązalnych problemów naszej współczesnej literatury, tych, których rozwiązanie pociąga za sobą zwykle automatycznie umiejszenie lub wręcz pogrzebanie efektu artystycznego. Klasowość bohaterów Szołochowa jest umotywowaniem przez pisarza ich stanowiska za, lub przeciw rewolucji. Mówiłem już wyżej, że ten problem autor „Cichego Donu" tłumaczy według porządku serca ludzkiego — inaczej mówiąc — argumenty socjologiczne przekłada na język psychicznych przeżyć stworzonych przez siebie postaci. Aby pokochać rewolucję — trzeba ją zrozumieć, aby ją zrozumieć — trzeba wytworzyć sobie inne od dawnych pojęcia, wyobrażenia, sympatie i antypatie, miłość i nienawiść. Takich prób ludzkiego przeobrażenia jest w powieściach Szołochowa nieledwie tyle, ile bohaterów. Taką próbę bardzo łatwo przegrać — dlatego tak wiele pesymizmu pozornie odczuwamy w „Cichym Donie". Taka próba trwa przez całe życie ludzkie — dlatego ani „Cichy Don", ani „Zorany ugór" nie mają zamykającego wszystkie problemy nieodwracalnie zakończenia.

W swych poszukiwaniach prawdy i artyzmu pisarskiej twórczości Szołochowa docieram tutaj do jeszcze jednego sedna: sedna współczesności jego utworów. Szołochow nie jest bowiem pisarzem rewolucji październikowej — w ścisłym, historycznym i tylko historycznym jej znaczeniu. Dla autora „Zoranego ugoru" przełom 1917 roku otworzył nową epokę w dziejach człowieka, trwającą po dziś dzień. „Zorany ugór" jest dalszym ciągiem „Cichego Donu" nie ze względu na następstwo czasowe akcji obu powieści, na identyczność jej tła i miejsca — ale ze względu na pokrewne problemy i konflikty ludzkie rozgrywające się w każdym z tych utworów. Stosunek do własności swojej i cudzej, do drugiego człowieka, do państwa, moralność i obyczajowość na miarę i potrzeby nowych czasów — to

słowem — zamordował dziecko i żonę Marka. Marek nie widział całego aparatu straszliwej okupacyjnej machiny, widział tylko twarz człowieka, nie Niemca, który własnoręcznie zakatował tamtych dwoje. I tę twarz zapamięta istotnie na całe życie... Jedni widzą swój cel w Bogu, inni w realizowaniu mniej lub więcej słusznych doktryn społecznych, a Marek, proszę państwa, miał tylko jeden jedyny cel w swoim życiu — odnaleć t a m t e g o c z ł o w i e k a... Z Reichu wrócił nie tylko zdrów, ile cały i zamieszkał we Wrocławiu. Otóż pewnego dnia, a było, to w rok po zakończeniu wojny...

Nagle Żytniowski przerwał. Musiał przerwać, bo do świetlicy jak bomba wpadł jeden z młodych wczasowiczów, którzy uprzednio wybrali się do knajpy. Był przemoknięty. Ciężko oddychał i niemal — że krzyczał:

— Nieszczęście! Pobili się w gospodzie! Tutejsi górale poharatali pana Wacława. Może ktoś z państwa tam pójdzie.

Zerwało się kilku mężczyzn. Między innymi i ja. Kiedy, ubrani w płaszcze, wyszliśmy na ganek, zajechał właśnie jakiś motocykl... Podszedł do nas nieznany motocyklista.

— Przepraszam panów. Jestem z prasy stalinogrodzkiej. Czy w tym domu znajduje się kierowca Wacław Heśko?

— Tak — odrzekłem — o co chodzi?

— Chciałem przeprowadzić z nim wywiad — jak spędza wczasy przodujący kier...

— Nie ma go! Wyjechał do Wisły — krzyknąłem. I poleciwszy jednemu z obecnych, żeby jakoś spławił fatalnego dziennikarza, wybiegłem.

*

WRÓCIŁEM późno w nocy. Żytniowski leżał w ubraniu na łóżku. Ręce jak zwykle podłożone miał pod głową. Nie obchodziło mnie już czy spał, czy też udawał, że śpi. Zapaliłem światło. Oczy miał otwarte. Nieprzytomnie wściekły podszedłem do niego.

— No, co? Zadowolony pan ze swego dzieła?

—Czego pan chce ode mnie?

— Czego chcę? Chcę panu powiedzieć, że jest pan przestępcą, tak, przestępcą, którego należałoby oddać w ręce władz.

— Czego pan chce ode mnie?

— Co za ohyda! Przecież to pan wysłał Heśkę do gospody. No, wysłał pan, czy nie?

— Nikogo nigdzie nie wysyłałem. Proszę nie krzyczeć, mam silny ból głowy. Jeśli chodzi o pana Wacława, powiedziałem mu po prostu, gdzie może być ta jego Hela... Widziałem, jak wybierała się z kilku osobami do gospody... Niechże mi pan da spokój... Cóż mnie obchodzą cudze wybryki w knajpie? Pobił się, to pobił...

— Panie Żytniowski! Wacław powiedział mi, jeszcze zanim zabrało go pogotowie, że wypił na pańskie polecenie kilka szklaneczek pańskiego wermutu — dla kurażu... Panu zależało na wywołaniu tej całej awantury... Zresztą i przedtem poił pan go swą wstrętną mieszaniną... Nie wiem, jak doszło do tego, że stał się pan alkoholikiem, ale, na Boga Ojca, dlaczego deprawuje pan innych...

Nagle Żytniowski siadł na łóżku. Jego zmięta i zniszczona twarz miała grymas bezbrzeżnej rozpaczy.

— Niech mnie pan zostawi w spokoju... Niech mnie pan zostawi w spokoju. Przecież pan nic nie rozumie, nikt mnie nie rozumie... Nazwał mnie pan alkoholikiem... Tak, jestem alkoholikiem... Ale pracuję, w biurze nie piję... Widzi pan, wysyłają mnie na wczasy... Nie wiem, czy długo będę mógł pracować, jest mi coraz trudniej, ale pracuję... Nie powinienem był widocznie tu przyjeżdżać... Ale koledzy mówili, cóż ty siedzisz w domu sam jak palec... Pojedź trochę, między ludzi... Zdziczejesz do reszty w swojej samotni... No i przyjechałem... Po co przyjechałem? Ano widać sądzone było... Ale ja wyjadę, zaraz wyjadę... Jest pociąg o 4-ej rano... Ma pan rację. Stało się, ale to naprawdę nie moja wina... Ja panu zaraz coś powiem...

Żytniowski wstał i jakimiś niedołężnymi ruchami wysunąwszy spod łóżka walizkę otworzył ją i zaczął wrzucać do niej różne swoje drobiazgi. Potem wyjął z szafki butelkę z wermutem, nalał sobie do szklaneczki. Wypiwszy usiadł i jakby się uspokoił. Popatrzył w okno, za którym przecierał się chmurny świt.

— Jeśli się przez piętnaście lat kogoś bezskutecznie szuka, jeżeli każda myśl i każda chwila wypełnione są tym szukaniem, jeśli to poszukiwanie jest jedynym celem życia, które straciło poza tym wszelki sens, to w końcu człowiek bliski jest szaleństwa. I ja na pewno jestem bliski szaleństwa. I raptem tu spotykam człowieka, którego twarz stoi mi przed oczami od lat piętnastu... Pan powie, że to przecież nie tamten — i pan będzie miał rację. Ja też od razu wiedziałem, że to nie tamten, ale to podobieństwo, to przerażające podobieństwo... Ach, po co ja to panu mówię... Trzeba się zbierać, już czas na mnie...

Gracjan Kozłowski

---

wszystko odnaleźć możemy tak w „Cichym Donie", jak „Zoranym ugorze". O cóż chodzi? Szołochow sygnalizuje nam w ten sposób konieczność nieustannego rozgryzania, rozwiązywania spraw pasjonujących i absorbujących k a ż d e g o człowieka żyjącego i pracującego w okresie zapoczątkowanym przez rewolucję październikową w dziejach nie tylko Rosji, ba, nie tylko państw demokracji ludowych. I tu wracamy do punktu wyjściowego niniejszych rozważań: w powieściach Szołochowa r e w o l u c j a *trwa* — jako że zbyt mocno zapuściła korzenie w ludzkich sercach.

Dlatego, kto czyta Szołochowa nie może pozostać na wyniosłym stanowisku ponadczasowego estety, literackiego kipera smakującego wykonanie „Cichego Donu" i „Zoranego ugoru" bez zaangażowania się w jego treść. W tych książkach spotykają się bezustannie historia i człowiek, dokumenty dziejowe, rozkazy dowódców, artykuły publicystyczne, akty ustawodawcze — ze swym gwałtownym oddźwiękiem w sercu i psychice ludzkiej, w życiu tak zwanego przez pisarzy burżuazyjnych „szarego" człowieka. Bohaterów Szołochowa nie można z życia wyabstrahować, tkwią oni w nim zbyt mocno i tak jak ono żądają dla siebie stosunku serio.

Spośród wielu nauk, jakie książki Szołochowa dają współczesnym pisarzom i krytykom, wypada wyodrębnić jeszcze jedną: przesycenie epickiego nurtu historii dramatem życia pojedynczego człowieka. Brzmi to, jak wiele krytyckich metafor, bardzo sztucznie — w istocie jest węzłem, w którym zbiegają się wszystkie tajniki rzemiosła literackiego Szołochowa. Autor „Zoranego ugoru" widzi życie ludzkie równie bogato i skomplikowanie, jak historię, więcej: rysuje je, rozumie na podobieństwo historii. Jest to sztuka niełatwa, w której stosowaniu trudno się ustrzec postawienia wszystkiego na jedną kartę, jeden aspekt bogatego, ludzkiego istnienia. Właśnie dziś obserwujemy nagminnie zjawisko dość rzadkie na ogół nie tylko w naszej literaturze: poświęcenie większe, ba, głównej uwagi temu, co się dzieje wokół człowieka, a nie samemu człowiekowi. Generalny błąd tak zwanej powieści produkcyjnej zasadza się właśnie na tym, że za ważniejszy i ciekawszy uznano proces samych przemian gospodarczych—kwitując w r a ż e n i e, jakie ten proces wywiera na uczestniczącym w nim człowieku schematem — symbolem. Szołochow postępuje odwrotnie: wykazuje, że komplikacje biegu wypadków historycznych nieuchronnie komplikują ludzkie życie, najbardziej osobiste i intymne, że nie można wyprostować własnych spraw — nie prostując jednocześnie losu swojej klasy społecznej, narodu, ludzkości. Rzecz jasna, można prostować w złym kierunku, czyli krzywić. Pamiętacie Mitkę Korszunowa, który postawił wszystko, bo swoje człowieczeństwo, przeciw rewolucji? To była jego subiektywna, egoistyczna, zła zemsta na własnym narodzie, na drugim człowieku za zwichniętą, przegraną miłość do córki bogatego kupca. Oto wzorzec niemal kalsowej, historycznej motywacji życia i walki kontrorewolucjonisty.

Myślę, że nie popełniłem błędu rozważając w czasie odczytywania na nowo książek Szołochowa trudności, z jakimi nieustannie boryka się nasza młoda literatura. Dla krytyka i pisarza lektura ta jest właściwie tym samym: rachunkiem literackiego sumienia i nadzieją na przyszłość. Ludzie znalezieni i ożywieni przez twórcę „Zaoranego ugoru" niewątpliwie pognębią w zestaweniu wielu bohaterów naszych powieści. Ale nie ulegajmy złudzeniom modnego i dzisiaj „talentyzmu", nie usprawiedliwiajmy naszych braków niedorośnięciem, niemożnością dorośnięcia do miary indywidualności twórcy Grzegorza Melechowa i Dawydowa. Kunszt pisarski autora „Cichego Donu" nie zasadza się przecież na magicznych, artystowskich sztuczkach, jest tylko wprowadzeniem w życie kilku prostych zasad tej literackiej poetyki, jaką pisze nasza współczesność. A że przeniesienie tych zasad z życia do literatury, nie jest łatwe i bezpieczne — na tym polega między innymi cena pisarskiego powołania.

W roku bieżącym obchodziliśmy 50 rocznicę urodzin Szołochowa. O takich jubileuszach rzadko się pamięta w życiu współczesnych pisarzy — raczej czyha się na liczby lat zamykających jakoś okrągło czyjś dorobek artystyczny. Można nawet bez większego błędu powiedzieć, że o cezurach w życiu artysty pamięta się tylko wtedy, kiedy życie to jest wyjątkowo twórcze, wyjątkowo związane nie tylko z przeszłością, ale i z przyszłością, nie tylko z pochwałą, ale i nadzieją (iluż naszych współczesnych pisarzy ukończyło już 50 lat życia...). Życie Szołochowa jest nieustanną nadzieją jego czytelników, komunikaty o posuwaniu się pracy nad drugim tomem „Zoranego ugoru", jego publikowane fragmenty — są wciąż najciekawszymi wiadomościami z literackiego frontu walki. Myślę, że warto życzyć naszym literatom nie tylko książek, ale i życia na miarę Szołochowa — pisarza w służbie rewolucji ludzkich serc...

Zbigniew Pędziński

JACEK ŁUKASIEWICZ

Powrót

Przyszedłem do ciebie, gdy wieczór perłowo barwił ruiny
Pierwszy wyleciał nietoperz z sennym furkotem.
Ulicą się przechadzały słońcem pachnące dziewczyny
i sprzedawały fiołki — bukiecik po cztery złote.

Kiedy wyszedłem od ciebie, ciemno już było na dworze.
Księżyc przez siatki ruin zaglądał w miejskie podwórka.
Toczyłem się ulicą jak wielki pusty orzech,
który obgryzła mała ruda wiewiórka.

ANNA MARKOWA

*
* *

Nad słowem przysypanym milczeniem
Pochylasz się nisko
Gdy pryska twoja duma zwyczajnie i po prostu
Nad słowem umarłym
Robisz znak krzyża

Nad słowem przysypanym milczeniem
Dłoń twoja milcząco zawisa
Dotknęła tylko czoła... A teraz
tłumi treny ptasie
Nad słowem umarłym

Nad słowem przysypanym milczeniem
Ciężko palcom przedzierać powietrze
Suną przez całą wieczność
By na piersi i ramionach — znak
Nad słowem umarłym...

Nad słowem przysypanym milczeniem
Jest cisza —
Poznajesz dom i drzewa
I dym z komina
Boli powrót. Dobry jest powrót.

ZBIGNIEW ZALEWSKI

Różnica

Z przymkniętymi oczyma
patrzę w ciebie
i widzę mą ciemność —
rozszarpywaną
zdwojonym rytmem serca.

Nie ma od ciebie
odwrotu.
Ty rośniesz we mnie
wspólny unosząc ciężar.

I tylko dzieli nas szczęście.

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Samotni

Tak sam
jako je każdy sam
przi narozeni — ve smrti
a mezitim po cely život...
(J Zahradniczek)

głowa odpływa w dłonie
nagi krzyk uwiązł w palcach
tęsknimy myślimy o sobie
płacząc

urok nocy burzy milczenie
i dumę twardej pustki
szukamy obok zdziwieni
ust

głowa odpływa w dłonie
w krótki na pięściach sen
i śnią się nam samotne
cienie

BARBARA EYSYMONTT

*
* *

Przez świerki i mgłę
Przechodzę dróżką poranną...
Na wrzosów gorzką dojrzałość
Spadł pierwszy liść.

O miły, babim latem
Osłonię Twoje ręce,
To tędy, tędy, będziemy
Milczący iść.

O miły, czas niespokojny
Wiewiórczym zakwitł cieniem
I wiatrem się wypełnił
I słów nie słychać, ni kroków...

O miły, jesień nad nami
Wschodzi dojrzała, jak pełnia.
Czekam na skraju lasu
Deszczu i łez powrotu.

MARIAN OŚNIAŁOWSKI

Brama

Senna jesień oprawiona w starą bramę.
Złoto, czerwień papielaty gasi muślin.
Wejdziesz przez nią — ustał dzienny zamęt —
Światło zagaś, oczy zamknij, uśnij.

Mgła perłowa narzucona na jeziora,
— Omiń tam uśpioną jakąś pieśń.
Sosny w słońcu od jesieni chorym...
będzie piękniej niż to można znieść.

LUDZIE ODZYSKANI

(Zbyszko Bednorz: Będzie bratem. Warszawa, 1955. Wydawnictwo PAX, s. 120, 3 nlb.).

PIĘĆ opowiadań Zbyszka Bednorza obraca się swoją tematyką i atmosferą w kręgu Ziem Odzyskanych. Jest to zjawisko dodatnie, gdyż — niestety — nie można powiedzieć, aby sprawa tych ziem dobrze się przedstawiała w naszej literaturze współczesnej. Gorzej: w swych literackich losach upodobniła się ona do problemu tzw. „powieści produkcyjnej". Po początkowym okresie rzucenia się pisarzy, publicystów i czytelników na tematykę „zachodnią" nastąpił równie generalny odwrót od niej. Przestała pociągać egzotyka tematu, zaczął za to nadmiernie ciążyć społeczny obowiązek twórczego, czy odbiorczego interesowania się nimi. A sam temat nie umarł przecież na uwiąd starczy, przeciwnie: wzbogaca się wciąż o nowe elementy, jakie niesie ze sobą współcześnie dziejąca się historia naszego narodu. Dlatego właśnie zbiorek opowiadań Bednorza wart jest szczególnej uwagi.

Punkt wyjścia pisarza jest zasadniczo słuszny: w swej nowej książce zajmuje się on przede wszystkim człowiekiem żyjącym i pracującym na Ziemiach Zachodnich. Stąd egzotyka tematu wyrażająca się u innych pisarzy obfitym wprowadzaniem różnego rodzaju realiów historycznych i geograficznych — u Bednorza nie istnieje. Natomiast w jego opowiadaniach znajdujemy inny element, którego w dotychczasowej literaturze o Ziemiach Odzyskanych bardzo brakowało: świadomość, że te ziemie wymagają dla siebie nowego człowieka, który — jak jego kraj — umie nastawić się na przyszłość, a nie na przeszłość.— A z tej ostatniej potrafi wyciągnąć słuszne generalnie wnioski, nie wiążąc się uczuciowo z jej poszczególnymi wypadkami. Dlatego bohaterowie Bednorza bardzo surowo rozliczają się z przeszłością, czy to będzie przeszłość pijaka („Robak pana Smyrka"), człowieka błądzącego na manowcach etycznych i politycznych („Nie ucieknie, kto żywy"), czy też księdza współdziałającego w akcji wynaradawiania („Ksiądz Ziss prosi o przebaczenie"). Punkt zwrotny w dziejach narodu utożsamia się zatem w opowiadaniach Bednorza z zasadniczą zmianą drogi życiowej poszczególnego człowieka. W takim postawieniu problemu tkwi niewątpliwe i rzetelne nowatorstwo pisarskie.

Tą ludzką przemianę opiera Bednorz z reguły na katolickiej płaszczyźnie etycznej i poznawczej. Szczególnie partie psychologiczne omawianych utworów kształtowane są przez pisarza w kategoriach natury i łaski, grzechu i przebaczenia. Więcej: również przemianę wewnętrzną człowieka stara się Bednorz wiązać z przeżyciami typowo religijnymi nie wahając się przedstawić ich jednoznacznie chociaż skrótowo. I tak na przykład, niemiecki ksiądz, współpracujący całe życie w akcji wynaradawiającej Polaków na Śląsku, fałszujący konsekwentnie swoje sumienie, poświęcający wreszcie w myśl zasad tego zafałszowanego sumienia szczęście, może nawet dusze swoich najbliższych — w krótkim momencie skruchy, wywołanym poznaniem nieznanych mu dotąd okoliczności, uświadamia sobie własną winę odpokutowuje za nią i zyskuje w oczach czytelnika zadośćuczynienie dzięki wywołanemu przez swój przełom nawróceniu grzesznika („Ksiądz Ziss prosi o przebaczenie").

Pozwoliłem sobie na ten skrót akcji opowiadania Bednorza, ażeby wykazać, jak bardzo katolicka teoria rzeczywistości (używając terminu Skwarczyńskiej) pomaga Bednorzowi w kondensowaniu i usprawiedliwianiu pewnego schematu akcji. Ten schemat powtarza się we wszystkich pięciu opowiadaniach i rozłamuje się na dwie nieproporcjonalne części: wielką ekspozycję losu głównego (zresztą i pomniejszych także) bohatera, o wiele krótszy opis przełomu w jego życiu, wreszcie całkiem skrótowy, szkicowy motyw zapowiadający dalszą, lepszą przyszłość nawróconego.

Trzeba powiedzieć, że taki schemat jest wielkim niebezpieczeństwem dla kompozycji — co więcej — dla realizmu opowiadań Bednorza. Schemat ten nie jest w naszej literaturze nowością: pamiętam, że niedbałe potraktowanie ciągu dalszego przy troskliwie zarysowanej ekspozycji utworu odstraszyło mnie na zawsze od pisarstwa Ossendowskiego. Prawda, że Bednorz może powołać tu na swoje usprawiedliwienie katolicką koncepcję nawrócenia grzesznika. Lecz — czy nie będzie to przypadkiem nadużycie tej koncepcji?

Bo i inne elementy omawianych utworów Bednorza wskazują dosyć jasno, że pisarz niezbyt dobrze radzi sobie z trudną niewątpliwie konstrukcją opowiadania, a raczej noweli. Jeśli bowiem odrzucimy treść jego opowiadań, zostawimy wyodrębniony schemat akcji — będzie to schemat szkolarsko-typowy dla noweli. Jednakże przełom w akcji, który np. u Maupassanta odbywa się wyłącznie w sferze wypadków zewnętrznych, u Bednorza zostaje poszerzony o płaszczyznę psychiki ludzkiej, na której kontaktują się jak gdyby porządki natury i łaski. I tutaj docieramy do sedna problemu: płaszczyzna ta jest narysowana zbyt szkicowo, zbyt aluzyjnie, zbyt mało — przekonywająco. Nawrócenie się poszczególnych bohaterów omawianych opowiadań, odzyskanie ich dla Boga, ojczyzny i ludzi przyjmujemy na słowo Bednorza, nie przekonani dostatecznie jego wizją artystyczną. Skrót pisarski sięgnął tu stanowczo zbyt głęboko i nie uwidocznił procesu działania łaski n a i p o p r z e z naturę ludzką.

Dlaczego tak się stało? Opowiadania - nowele Bednorza są nie tyle opowiadaniami, ile konspektami powieści. Nagromadzono w tych utworach za dużo postaci i spraw ludzkich, zasada selekcji i eliminacji nie weszła jeszcze w krew Bednorzowi - pisarzowi. Dlatego właśnie mamy u niego do czynienia z tak wielką hegemonią skrótu, z tym, że odpowiedzi pisarza na nasze „dlaczego?" mogą zadowolić czytelnika artykułu dziennikarskiego, ale nie utworu literackiego. Treść opowiadań Bednorza rozsadza formę, w którą została wlana — zmusza do zagubienia jej istotnych elementów. Pisarz się niecierpliwi i spieszy, — dlatego poszczególne fragmenty swoich utworów pisze coraz to inną techniką: opowiadania, noweli, powieści sensacyjnej, awanturniczej, obyczajowej, psychologicznej... Chodzi przecież o wydobycie i nazwanie pisarskie jeszcze tego, i tamtego, i owego tematu...

Skądże ten pośpiech i niecierpliwość u Bednorza? A no właśnie — z sytuacji w naszej literaturze o Ziemiach Odzyskanych, zarysowanej we wstępie do mojej recenzji. Utwory Bednorza — mutatis mutandis — cierpią przecież na te same mankamenty, co rzadkie książki innych pisarzy o tej samej tematyce. A na takie książki nie czeka może czytelnik z Polski centralnej — ale czeka na pewno (i to niecierpliwie!) polski Mazur, Warmiak, Ślązak, Opolanin, czeka repatriant i reemigrant (nie uwzględniony zresztą w utworach Bednorza) pracujący na Ziemiach Odzyskanych. I w tym właśnie widzę walne usprawiedliwienie nierównego poziomu omawianej książki Bednorza: mimo wszystko jest ona przecież komunikatywna i czytelna, a nie jest złą, co najwyżej bardzo popularną literaturą.

Jeśli pozwoliłem sobie na tak drobiazgowe i ostre niekiedy wytykanie błędów nowej książki Bednorza — miałem właśnie na uwadze przypuszczalnego adresata tych utworów. Takiemu adresatowi nie wolno dawać roboty pisarskiej „z lewej ręki" — pisarzowi, który dla niego pisze, nie wolno pobłażać, nie wolno dawać „premii za temat"; Dlatego pisarstwo Bednorza warte jest krytyckiej opieki i surowej troski.

Z. P.

ZBIGNIEW DOLECKI

MIASTO SERDECZNE

Fragment starej Marszałkowskiej

„Warszawa zasługuje na miłość, na miłość mądrą i rozważną. Z takiej miłości zmartwychwstaje zburzona piękność miasta i przepada na zawsze jego zła i okrutna uroda... Niech nasza pamięć i nasza miłość po równi służą tej szlachetnej sprawie".

(Paweł Hertz „Notatnik z obu brzegów Wisły".)

Jest warszawskie przedpołudnie. Siedzę w czytelni Klubu Prasy na Nowym Świecie jako jej pierwszy gość. Przede mną leży pięć książek. Pięć książek o Warszawie, które znalazły się na półkach księgarni w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy*). Różne to są książki. Na ich kartach znaleźć można opowiadania, gawędy, szkice i reportaże. Od ciepłych, nasyconych liryzmem słów poety poprzez twarde i burzliwe słowa świadków rzeczy strasznych i tragicznych aż po suche relacjonujące, ale drgające czymś, co łączy je z tamtymi, słowa reportażysty. Są to wspomnienia o przeszłości ludzi i miasta, wspomnienia smutków i radości ich autorów; spraw dobrych i złych, pięknych i budzących grozę i wspomnienia o mieście łączące się z tamtymi w jeden nurt. Bo dla warszawiaków to, co osobiste, to jednocześnie warszawskie, a to, co warszawskie — „swoje". Historia tego miasta to zarazem historia nas, jego mieszkańców. Kochamy ją jak kochamy samo miasto i ta miłość jest owym „czymś" łączącym pięć leżących przede mną książek.

*

Nie będę pisał o narodzinach miasta. Znamy wszyscy jego historię dobrze. Nie będę mówił o Warszu i Sawie. Kto nie zna legendy, ten będzie mógł ją ujrzeć niebawem na ekranie. Myślę o filmie: „Syrenka warszawska"... Wyrzeknę się też mocnej chętki spojrzenia w dalszą przeszłość Warszawy, przeszłość, którą możemy odnaleźć na kartach leżących w tej chwili przede mną książek. Przeszłość obfitującą w tyle ciekawych dramatycznych wydarzeń. Są daty, które tkwią w naszej pamięci jakby wyryte w kamieniu. Nie trzeba ich nawet przypominać. Są pamiątki narodowe: ulice całe, gmachy, kamieniczki, ogrody, pomniki, które pozostaną na zawsze bliskie warszawiakom, które odrodzą się na nowo, bowiem wszystko, co piękne i dobre z przeszłości wkracza piękniejsze jeszcze — bo nowemu służące — w nasz czas.

Nie będę wspominać dalekiej przeszłości. Możemy ją w każdej chwili odnaleźć w książkach i — choć zatartą wprawdzie — na ulicach naszego miasta. Zacznę opowieść o Warszawie — u progu naszych czasów. W latach, które trwają jeszcze w pamięci naszych dziadków i rodziców.

*

Przenieśmy się więc do Warszawy „fin de siecle'u", Warszawy zwanej pieszczotliwie „Warszawką", jako że była to Warszawa wesoła, lekkomyślna i figlarna: prawdziwy „Paryż północy". Była też i inna Warszawa. Warszawa ponurych dzielnic robotniczych, Warszawa ciężkiej pracy, nędzy i... buntu. Jeśli myślimy o tych czasach, nasuwa się nam podwójny obraz. Miasto parkowych promenad, bogatych sklepów, posiadających swój urok, secesyjnych kamienic, rozrywkowych ogródków, kabaretów, teatrów, a także miasto przedmiejskich ruder, brudnych, szarych i smutnych ulic, na których dźwięczały wiadra noszone przez obdarte kobiety, rozlegały się ciężkie kroki powracających z fabryk robotników, a często pojawiały się czerwone i biało-czerwone sztandary niesione w pochodzie przy wtórze rewolucyjnych pieśni. Te dwa obrazy są nam równie bliskie, nie zamierzamy wyrzekać się wspomnienia tej pierwszej Warszawy, jesteśmy dumni z drugiej. Rzućmy najpierw okiem na Warszawę sprzed lat sześćdziesięciu z „lotu ptaka":

„Była ona miastem małym. Na południu granice jej oznaczały rogatki Mokotowskie i Belwederskie, na zachód rogatki Jerozolimskie, Wolskie i Górczewska, leżące na linii ulicy Okopowej. Na północ rogatki Powązkowskie, Muranowskie oraz Cytadela, stojąca tuż za dworcem kolejowym zwanym dziś Gdańskim, wówczas zaś Nadwiślańskim. Prawobrzeżną część miasta Pragę ograniczała od północy linia kolejowa do Mławy, na południe miasto nie sięgało nawet (nie istniejącego jeszcze) mostu Poniatowskiego. Saska Kępa była podówczas swego rodzaju lunaparkiem, podzielonym na kilka dziesiątków ogródków, piwnych. Na wschód Bródno leżało daleko, poza granicami miasta, podobnie jak Grochów. Na obszarze mierząc na oko mniej więcej dziesięćkroć szczuplejszym od dzisiejszego, tramwaj ciągniony przez jednego konia stanowił wystarczający środek komunikacji miejskiej".

Spójrzmy na ówczesną Warszawę oczami wielkiej naszej pisarki Marii Dąbrowskiej:

„Pamiętam gładkość i szerokość chodników, ulice wykładane drewnianą kostką, która mnie zachwycała... Słyszę cichy szmer pojazdów na gumach. Dużo światła, nie wiem już jakich latarń, chyba gazowych; podniecające wrażenie, gdy zapalono ją, zanim się jeszcze ściemniło i gdy potem po chodnikach igrały pod tym światłem cienie liści z drzew, którymi ulice były wysadzone. Oszałamiała mnie ogromność i wysokość kamienic, długość nieskończona dla mnie Marszałkowskiej ulicy i jej liliowe przed zmierzchem perspektywy, błękitniejące głębie przecznic, a na końcu znany mi z Prusa Ogród Saski z jego mitologicznymi posągami, zapachem kwitnących akacji i wspaniałą fontanną. Nawet studzienne, głębokie warszawskie podwórza nie osadzane były przeze mnie jako brzydkie czy ładne, stanowiły także po prostu cechę wielkiego miasta. Rozlegało się w nich tyle odgłosów gęstemu zaludnieniu właściwych. Tu siekano mięso, a tam rąbano drewka, gdzie indziej bito pianę, ówdzie ktoś grał na fortepianie albo ktoś sobie śpiewał, płakało dziecko, jakieś kobiety przekrzykiwały się kłótliwie lub coś gadały monotonnie... Pospołu z rzewną i śpiewną wrzawą ulicy dolatującą spoza wielkiej bramy stanowiło to muzykę miasta zupełnie inną niż dzisiejsza i dotąd dźwięcząca w mym uchu".

Ulicami kroczyła wolno dyskutując zawzięcie, lub jeździła godnie (gdy grosz dźwięczał w kieszeni!) melonikowa cyganeria, owi niezapomniani wąsaci i brodaci poeci, malarze, aktorzy dodający miastu swym oryginalnym wyglądem tyle „smaku" i pikanterii. Na deskach teatrów: Wielkiego, Nowości, Rozmaitości i Letniego można było podziwiać najwspanialszych aktorów: Modrzejewską, Żółkowskiego, Frenkla, Rapackiego, Leszczyńskiego, Kamińskiego... W Operetce widziało się Messalkę. Gdy się było w usposobieniu wesołym, można było pójść do któregoś z licznych kabaretów czy ogródków jak „Momus" czy „Bellevue", aby posłuchać młodopolskich, melancholijnych przebojów:

„Wiatr za szybami śmieje się
Psiakrew! To życie takie złe
Nie, już nie będę chyba pić
Jutro inaczej zacznę żyć!"

Albo:

„Życie domek z kart, miłość głupi żart
Który tyle wart, że nie wart nawet papierosa"

Często jednak to beztroskie zdawałoby się życie „Warszawki" przerywane było strzałami oraz okrzykami podchwytywanymi nawet i przez tych pozornie lekkomyślnych i spokojnych mieszkańców miasta. Serce miasta biło niespokojnie, nasłuchiwało.

Wzbierała burza, która miała oczyścić niebo nad Warszawą.

Dla nas to historia, a oglądały ją przecież oczy naszych dziadków i rodziców.. Czas toczy się coraz szybciej. Jakby wiedział, że potrafimy go teraz wykorzystać dobrze.

*

Warszawa naszej młodości... Nie ma już ulic, które przemierzaliśmy co dzień nie ma domów, w których mieszkaliśmy, znikł „krajobraz", znikł smak, zapach i barwa lat dwudziestych, trzydziestych, ale to wszystko pozostało w nas i odżywa czasem, kiedy przystaniemy przed uświęconym jakimś wspomnieniem miejscem. Czy warszawa sprzed lat dwudziestu, trzydziestu była piękna? Z pewnością wszyscy, którzy ją pamiętają powiedzą: „tak". Miała urok wielkiego, pulsującego życiem miasta-metropoli. Doprawdy, czas by wreszcie zrozumieć, że jasne, pełne reklam świetlnych, rozbrzmiewające muzyką z lokali rozrywkowych, rojne aż do późnego wieczoru ulice to nie tylko obraz miasta kapitalistycznego. Teraz gdy tworzymy nowe piękno naszej stolicy, powinniśmy walczyć o to, aby stolica ta nie była miastem szarym, smutnym jak to często przechodząc jej ulicami — szczególnie wieczorem — spotrzegamy. Wróćmy jednak do miasta, po którym i ja chodziłem kiedyś, prowadzony za rękę przez ojca nucącego jakąś piosenkę, której refren brzmiał właśnie: „Warszawa, piękna Warszawo...".

„I oto otwiera się przede mną Plac Teatralny z prześliczną kolumnadą teatru z wynioslym frontonem Opery z surowym mieszczańskim domem Neprosa, wylotem ulicy Senatorskiej. Wiedziałem, że jeśli się nie opamiętam pójdę tam właśnie i za chwilę pochłonie mnie ciemny tajemniczy pasaż Luksemburga, gdzie pod zakurzonym szklanym sklepieniem, przez które nocą przebłyskiwały wielkie gwiazdy, oglądałem w gablotkach kina o zapomnianej już dziś nazwie, zabójcze wąsiki amantów, buty Chaplina i smutne oczy filmowych anielic, skrzywdzonych, bezradnych, bezbronnych. Niczym żeglarz zwinnie przebiegający między Scyllą a Charybdą unikałem jednak i wylotu ulicy Senatorskiej i równie zajmującego spaceru w kierunku pałacu Blanka. Wielka wskazówka na ratuszu wznosiła się szybko od szóstki ku dziewiątce, mniejsza zaś muskała niemal ósemkę. Przebiegałem więc szybko plac, Niecałą, pełną sztucznych kwiatów i piór do kapeluszy i wbiegałem w zielony świat Saskiego Ogrodu".

Obraz dzieciństwa jest zawsze piękny we wspomnieniu. Jest nam drogie, jest osnute poezją wszystko, co się w tym obrazie mieści. A więc domy, ulice, ciche zagubione placyki, mroczne zaułki, drzewa, pomniki i nawet upamiętnione jakimś słowem, czy myślą parkany czy latarnie uliczne...

A rzeczywistość? Musimy wymierzając sprawiedliwość tym latom ukazać drugi jej rąbek już bez poetyckich osłonek.

„Drzwi się otworzyły. Weszłam i zaraz stanęłam, to było mieszkanie. Nieduża piwnica czarna od węgla, który tu kiedyś był. Między żelaznymi prętami małego okienka pod sklepieniem zamiast szyby kłąb zwiniętych watowanych gałganów. Pośrodku na ceglanej podłodze trzy na sztorc ustawione cegły między nimi tlejące dwie szczapki drzewa na tym żelazny okopcony kaganiec. W mdłych pełganiach rzucanych przez te szczapki dojrzałem jeszcze drewnianą pakę pod jedną ścianą a pod drugą podartą kapotę dziwnie wzdętą. To było wszystko co tam się znajdowało. Stałam w otwartych drzwiach i nie ruszałam się z miejsca. Nagle pod leżącą u ściany kapotą poruszyło się coś. Nie! pomyślałam".

A jednak tak. Byli ludzie, którzy tak mieszkali w „Warszawie, pięknej Warszawie" naszego dzieciństwa i młodości, Warszawie za którą często tęsknimy, którą wspominamy z żalem, jakbyśmy utracili jej — tak często pozorne — piękno na zawsze. A tak nie jest. Nie potrzeba tłumaczyć — dlaczego...

Myśląc o Warszawie kategoriami osobistymi — spoglądam w swe własne minione lata. Wspominam dom, w którym przeżyłem dzieciństwo. Mroczne podwórze, jeszcze bardziej ciemne mieszkanie wychodzące na ową szarą ponurą, przysłowiową „studnię". — A była to kamienica „bogata", śródmiejska. Pamiętam poranki, kiedy ze snu budziło mnie trzepanie dywanów i kłótnie służących. Pamiętam zastarzałe zapachy domowe. Suche, obojętne „dzień dobry" sąsiadów spotykanych tylko na schodach. Każdy żył zamknięty w dusznej klatce mieszkania jak borsuk. Każde mieszkanie było domową twierdzą, tylko odgłosy dobiegające z nich przez uchylone okna dawały znać, że ktoś tam coś robi, coś mówi.

Nieczęsto przechodzę obok mej starej ulicy. Zresztą już jej nie ma. Kiedy ostatnio mijałem jej były róg — ujrzałem wysokie czerwone bloki — otoczone wolną przestrzenią, powietrzem, słońcem i rozbrzmiewającym wokół życiem. Nie ma już cichej, wąskiej uliczki ze szpalerem lip i kasztanów. Ale nie budzi to we mnie żalu. Chociaż nie został nawet okruch z domu, w którym umarło tyle drogich sprzętów i książek... tyle wspomnień.

Kiedy wyrosną tu drzewa, gdy powstaną małe zaciszne placyki.. dla dzieci, których płacz słyszę przez okna bloków, nowy krajobraz ulicy będzie równie bliski i drogi jak mnie niegdyś ten dawny. I ich dzieciństwo będzie na pewno szczęśliwsze i radośniejsze... I to dlatego właśnie, że znikły, że znikają ciemne podwórza, duszne ponure pokoje i ciężkie, grube mury...

*

Tak zwany „plan Pabsta" przewidywał kompletną rozbiórkę miasta za wyjątkiem części Starego Miasta, Belwederu i Łazienek, a na 1/20 części „oczyszczonego" terenu budowę 100-tysięcznego „niemieckiego miasta Warschau" zamieszkałego przez urzędników administracji, pracowników transportu i wojsko. O Polakach, mieszkańcach Warszawy nie było w planie tym mowy. Mieli zniknąć. Plan miał być wykonany po „zwycięstwie". Na razie niszczono ludzi.

Pamiętam, jak któregoś gorącego dnia lata 1941 roku wybrałem się z ojcem na Nalewki do pana Golda, właściciela małego sklepiku z zabawkami, z którego pochodziły wszystkie kolorowe pułki mych ołowianych żołnierzyków. Pamiętam smutny i sceptyczny uśmiech starego człowieka, z jakim kiwał głową, gdy ojciec pocieszał go: „Niedługo panie Gold; Hitlera diabli wezmą i wszystko będzie dobrze!" W dniu tym moja armia powiększyła się o pułk ułanów, pędzących do ataku z wystawionymi szpicami lanc — „Chowałem ich dla Icusia. Nie ma już Icusia, weź ty dziecko — tobie się przydadzą... To polskie żołnierzyki".

Pułk dzielnych ułanów otrzymanych w darze od pana Golda poległ w trzy lata później w płonącym domu warszawskim; jednym z tysięcy...

*

„W ten sam bestialski sposób zabite zostały dom po domu, tysiące domów, ulica po ulicy, setki ulic, plac po placu, dziesiątki placów z ich ruchem, światłem, barwami, dźwiękami. Tu chcieli zamordować teraźniejszość, do szczętu wygładzić przeszłość, uniemożliwić przyszłość".

Uniemożliwić przyszłość... W roku 1960 Warszawa będzie liczyć 1.300.000 tysięcy mieszkańców, czyli więcej niż przed wojną. Centrum miasta odbudowane i przebudowane cieszyć będzie oczy pięknymi blokami, szerokimi placami, zielenią parków, smukłymi pionami wieżowców. Nie tylko wzrasta śródmieście. Zatrą się bowiem rażące różnice pomiędzy śródmieściem a dzielnicami peryferyjnymi.

Na północy, która będzie kierunkiem rozwojowym Warszawy w ciągu najbliższych lat powstaną dwie nowe wielkie dzielnice Bielany — Młociny (140.000 mieszkańców) po lewej stronie Wisły, Nowe Bródno (70.000 mieszkańców) — po prawej. Będą to dzielnice zamieszkałe przeważnie przez robotników potężnej huty „Warszawa" i dokerów z nadwiślańskich stoczni. Trzeba bowiem wiedzieć, że Warszawa będzie dużym portem śródlądowym. Obie te dzielnice połączy nowy most wybudowany na wysokości Marymontu.

Od placu Stalina rozbiegać się będą cztery ramiona dwóch głównych arterii miasta: N—S (Aleja Niepodległości, — Aleja Marchlewskiego, — Muranów, — Żoliborz, — Huta „Warszawa") i Aleje Jerozolimskie, przedłużone aż do Włoch.

A rozbudowa urządzeń wodociągowych i świetlno - termicznych? Nowe dwie „fabryki" wody czerpać ją będą spod... dna Wisły, pod którą płynie druga podziemna czysta jak kryształ rzeka. Dwie elektrociepłownie na Żeraniu i w Młocinach ogrzewać będą duże przestrzenie miasta. Pomagać im będzie osiem kotłowni rejonowych. Warszawa stanie się miastem prawdziwie nowoczesnym.

Największe zmiany nastąpią na prawym brzegu Wisły. Od Parku Praskiego ciągnąć się będzie aż po Żerań śliczny bulwar, z którego będzie można oglądać panoramę całej lewobrzeżnej części miasta.

„Pomiędzy mostem Śląsko - Dąbrowskim a mostem Średnicowym

Plac Zamkowy

DANUTA PASZKIEWICZ

MAROKO

Oto Maroko... Skaliste, poszarpane łańcuchy gór Atlasu, „ouedy" — rzeki spływające cztery lub pięć razy do roku i ginące w piasku pustyni, czapy śnieżne olbrzymów górskich, Sahara wydająca ogniste tchnienia, przepyszne, wiecznie zielone lasy wyniosłych dębów korkowych, wysokopiennych cedrów i wspaniale rozrośniętych jałowców; gaje oliwne, sady i winnice; biało ubrane postacie Berberów o pięknych dłoniach i zawoalowane dziewczęta arabskie; bogato ornamentowane meczety ze strzelistymi minaretami.

Oto Maroko... Głos nauczyciela wiejskiego wypowiadającego śpiewnym głosem sury świętej księgi proroka — Koranu; nawoływania sprzedawców w gwarnych bazarach zachwalających wonne pachnidła i „essence de coq" — wywar z oczu koguta mający magiczną moc czynienia człowieka niewidzialnym; dźwięki piszczałek i tamburynków marokańskich... Melodyjnie brzmiące nazwy miast: Casablanka, Fez, Rabat, Marakesz, Mogador, Meknès, Agadir.

...Gorące afrykańskie słońce zaszło za górami Atlasu i nad miastem Casablanka zapadł zmrok. Na głównym placu, w europejskiej kawiarni zapalono światła. Był sobotni wieczór i taras kawiarni szybko zapełnił się Europejczykami i bogatymi tubylcami. Goście w kawiarni nie zwrócili uwagi, że na placu pogasły światła; nagle powietrze przeciął błysk reflektorów przejeżdżającego autobusu i w tej chwili rozległy się strzały! Cała salwa z automatu. Odpowiedziało im kilka pojedynczych wystrzałów. Autobus zatrzymał się tuż przed kawiarnią. Na tarasie powstało zamieszanie. Prócz jęków rannych dały się słyszeć okrzyki: „Policja!" Na ulicy leżało sześciu zabitych — dwóch patriotów marokańskich i czterech tzw. kolaboracjonistów czyli Marokańczyków lojalnych wobec Francji i popierających kolonizatorskie posunięcia rządu francuskiego.

...Wąskie uliczki Fezu. W półmroku nisz, we wgłębieniach w murach przysiedli rzemieślnicy, potomkowie sławnych budowniczych meczetu. Robią oni tu delikatne koronkowe naramienniki ze srebra, złotem zdobione ornamenty opraw książek, tkają wspaniałe dywany i wyklepują srebrne misy. Wzdłuż białych murów: ogrody, fontanny i piękne budynki z misternymi krużgankami. Fez kultywuje tradycję cywilizacji hiszpańsko-arabskiej. W pobliżu jednej z bram miasta znajdują się stare klamry przymocowane do muru. W nich umieszczano ścięte głowy Marokańczyków buntujących się przeciwko sułtanowi. A ponieważ sułtan wymierzał sprawiedliwość tylko raz w roku, jeńcy musieli długo czekać. Gdy zebrało się ich stu, dziewięćdziesiąty dziewiąty miał prawo zwrócić się do sułtana z prośbą o rękę jego córki. Jeżeli ona jednak go nie chciała, wówczas sułtan mówił do więźnia: „nie masz ani pieniędzy ani szczęścia, masz tylko pchły! Czeka cię śmierć".

...Meknès do złudzenia przypominający Sewillę, Kadyks czy Malagę. Pałace, kolumnady i hiszpańskie balkoniki. W tym to mieście żył w końcu XVII wieku władca Maroka, Mouley Ismaël, którego rządy trwały pięćdziesiąt pięć lat. Posiadał on sześćset żon, tysiąc dwieście dzieci i trzymał w niewoli dwadzieścia pięć tysięcy jeńców chrześcijańskich, których używał jako siły roboczej do budowy pałaców, meczetów i ogrodów. Mouley Ismaël wsławił się tym, że uderzył w konkury, zresztą bezowocne, do księżniczki de Conti — córki Ludwika XIV i księżny de Vallière.

W odległości kilku kilometrów od Meknès znajduje się kolebka władzy mauretańskiej Maula Idris. Jest to małe miasteczko uroczo położone na zboczu gorskim. Chaty pną się tarasami wysoko w górę i zstępują głęboko w wąwóz, gdzie wznosi się przepyszny meczet. Maula Idris to klejnot historii arabskiej. Dzisiaj jednak przybywającego tu turystę wita przede wszystkim grupa żebrzących brudnych dzieci, które bezczynnie wałęsają się całymi dniami. Trzeba bowiem pamiętać, że w Maroku jest 95% analfabetów (przy blisko 9 milionach ludności) i nie widać szans poprawy tego stanu rzeczy, skoro na dwa miliony dzieci w wieku szkolnym tylko 75.000 uczęszcza do szkół.

...Mogador, miasto pięknie położone nad Oceanem Atlantyckim, całkowicie białe i niebieskie. Mury, wille, dachy i kopuły, wszystko jest białe, bielą śniegu i kredy. Wszystkie bramy, drzwi, okiennice i ornamenty są niebieskie, błękitem turkusu, kobaltu, morza, lazuru i nocy. Mogador jest dziełem pewnego Francuza z Awinionu — pana Cornut, amatora przygód i niecodziennych wrażeń, których mu w życiu nie brakowało.

...Rabat, stolica Maroka, drugie obecnie poza Casablanką miasto marokańskie, gdzie panuje nastrój oczekiwania, lęku, groźby i wezwania. Ciężka atmosfera przytłacza wszystkich. Koloniści francuscy osiedli od kilkudziesięciu lat zadają sobie pełne niepokoju pytanie: „Czy zostaniemy tutaj?", „Czy się utrzymamy?". Niektórzy pocieszają się, że „Aby stworzyć imperium kolonialne trzeba stuleci, miejmy nadzieję, że trzeba także wieków, aby je stracić".

rozpocznie się budowa tzw. przyczółka praskiego. Ta część Pragi potraktowana została jako część śródmieścia stolicy, co przełamuje tradycję traktowania Pragi jako ubogiej siostry i realizuje postulat, że śródmieście stolicy rozciąga się po obu brzegach Wisły".

Miasto zwiąże się z rzeką, która wszak nie jest mniej piękna, niż Newa czy Sekwana, w falach których odbijają się pałace i domy Leningradu i Paryża. Na nadbrzeżnych bulwarach przechadzać się będą ludzie pragnący wypoczynku, pięknych widoków, a przede wszystkim... zakochani. Już dziś zresztą na Wybrzeżu Kościuszkowskim... Zdecydowałem się zakończyć dzisiejszy dzień zadumy nad „miastem serdecznym" na ławce nad rzeką, gdzieś w pobliżu Syrenki... Z drzew zaczynają opadać pierwsze liście. W żywopłotach krzaków bawią się w chowanego dzieci. Z zakotwiczonej przy brzegu krypy unosi się dymek, słychać śpiew piaskarza. A Wisła?: „Wisła płynie, Wisła płynie"... Szkoda, że nie doczekał Poeta...

Wielkie zmiany już zaszły nad Wisłą i zachodzą z każdym dniem. Naszą sprawą jest nie tylko je podziwiać i cieszyć się, ale przede wszystkim przykładać do nich własne ręce.

Nie wszystko bowiem jest jeszcze w naszym warszawskim życiu piękne i radosne. Nie wszystko napawa optymizmem. Są jeszcze sprawy, które budzą gorycz...

Jeżdżąc z komisją Związków Zawodowych, sprawdzającą warunki mieszkaniowe osób starających się o przydział z Urzędu Kwaterunkowego, widziałem czteroosobową rodzinę mieszkającą w „pokoju" o wymiarach 3×2,5 m,..., w pokoju, do którego trzeba było wchodzić po chybotającej kładce, pośród zwisających brył kamienia i żelaza. Wiele ludzkich spraw komplikuje się czasem tragicznie — z bardzo „prozaicznej" przyczyny, braku mieszkań. Znamy małżeństwa spotykające się tylko... na mieście. Znamy młode dziewczęta i chłopców, którzy nie mogą się pobrać...

Nic dziwnego, że w tych warunkach nie zawsze dobrze jest z etyką i estetyką...

Należy zapewnić w s z y s t k i m dom. Nie jest to sprawa łatwa. Tym bardziej musimy wszyscy nad jej szybkim rozwiązaniem pracować!

Przy przebudowie i rozbudowie miasta należy dbać o estetykę domów i ulic. Drobne, nic nie znaczące z punktu widzenia urbanistycznego korekty, zmiany w ukształtowaniu miasta — mogą mieć duże, niewymierne znaczenie estetyczne. Mogą dany fragment ulicy, budynku — uczynić piękniejszym, bliższym człowiekowi...

Nad tym wszystkim czuwa nasza wspólna, serdeczna troska, troska pochodząca z miłości, jaką wszyscy do naszego miasta żywimy.

Czas zamykać książki. Dalszej historii Warszawy nie znajdziemy na kartkach książek, znajdziemy ją w nas samych.

Zbigniew Dolecki

*) K Beylin „Opowieści warszawskie", P. Hertz „Notatki z obu brzegów Wisły", K. Malcużyński „Szkice warszawskie", E. Szelburg-Zarembina „W cieniu kolumny", „Warszawa naszej młodości" Antologia. Z książek tych pochodzą wszystkie zamieszczone w tekście cytaty.

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

Bez tytułu

Scena z filmu „Iwan Groźny"

REDAKTOR się uparł, ażeby dać koniecznie polski tytuł. Więc dałem (jak powyżej), ale osobiście zatytułowałbym te kilka uwag o Festiwalu filmów radzieckich h o r s d' o e u v r e s. I właśnie pod tym nieprzetłumaczalnym na polski tytułem proszę czytać co poniżej. Bo to właśnie nie będzie oficjalne zagajenie, ani szumny bilans. Raczej coś w rodzaju swobodnie rzuconych zdań, jakie towarzyszą często filiżance kawy...

Sukcesy filmu radzieckiego w rozwoju ekspresji języka filmowego zaszokowały świat już w kilka lat po ogłoszeniu dekretu o upaństwowieniu kinematografii. Skąd więc tak nagły rozwój ideowo-artystyczny filmu, który w zasadzie nie posiadał żadnych tradycji X muzy z okresu przedrewolucyjnego?

Po odpowiedź sięgam do jednej z wypowiedzi Sergiusza Eisensteina.

„O środkach ekspresji plastycznej Puszkina, o znaczeniu, jakie dla kultury filmowej posiada ten najbardziej lakoniczny mistrz słowa — można by pisać całe rozprawy.

O wyrazistości plastyki i oryginalności „kadrów" opisowych u Gogola można by tyleż powiedzieć, co i o jego wręcz filmowym operowaniu barwą.

Tołstojowska metoda odsłaniania uczuć i myśli bohaterów oraz ujawniania mechaniki ich czynów — pozostanie na zawsze niewyczerpanym źródłem doświadczeń.

Twórca filmu historycznego nie będzie mógł przejść obojętnie obok Surikowa.

Twórca filmu psychologicznego — obok Repina.

Twórca zgłębionej charakterystyki portretu filmowego — obok Sierowa.

Wielka tradycja mistrzostwa Mussorgskiego będzie na zawsze drogowskazem przy muzycznym opracowaniu dramatu filmowego.

Studiowanie rytmiki Majakowskiego wzbogaci wiedzę niejednego pokolenia przyszłych filmowców.

Gorki pozostanie na zawsze akademią umiejętności realistycznego ujmowania życia i człowieka".

Jak widać, tradycje kultury narodowej są zawsze świetnym orężem w walce o samoistność i wielkość kultury filmowej.

PRZEZ wiele lat rządy kapitalistycznych krajów nie uznawały Kraju Rad. Odmawiały nawiązania stosunków dyplomatycznych, stosowały bojkot polityczny i blokadę gospodarczą. A jednakże w tym samym czasie i w tychże bojkotujących krajach filmy radzieckie zdobywały odznaczenia, zmuszały parlamenty do stawiania kwestii ZSRR na porządku dziennym...

Na wystawie Sztuk Pięknych w Paryżu w roku 1924 i 1925 Sergiusz Eisenstein, Dżiga Wiertow oraz inni twórcy radzieccy otrzymali medale i odznaczenia.

W roku 1926 w Reichstagu zgłoszono interpelację o niedocenianie przez Niemcy potęgi morskiej Związku Radzieckiego, która objawiła się w trzykrotnym przezwyciężaniu zakazu cenzury przeciw wyświetlaniu filmu „Pancernik Potiomkin".

W 1932 roku na pierwszym festiwalu filmowym w Wenecji, za najlepszy film uznani zostali „Bezdomni" Ekka.

Kiedy Pudowkin, twórca „buntowniczego" filmu „Matka" otrzymał wizę wjazdową do Anglii, reakcyjna część parlamentu nie omieszkała wnieść interpelacji.

W 1939 roku prezydent Roosevelt — mimo, że USA przez szesnaście lat nie uznawały ZSRR — zażądał wyświetlania dlań w Białym Domu „Aleksandra Newskiego".

Jest wprawdzie wiele wydawnictw, które w katalogach bibliotecznych umieszczane są pod wspólnym mianownikiem: sztuka filmowa, ale doprawdy niewiele z nich ma coś wspólnego ze sztuką. Przeważają ilustrowane albumy. Wśród niewielu poważnych i zasadniczych prac Arnhaima, Balazsa, Lindgrena czy Claira imponujące miejsce zajmują dzieła teoretyczne radzieckich filmowców. Spójrzcie tylko na tytuły: Pudowkina „Technika filmu" (o montażu) i „Aktor w filmie", czy Eisensteina „Istota filmu" i „Forma filmowa". Ale to jeszcze nie wszystko. W pozostałych pracach teoretycznych o sztuce filmowej (większej czy mniejszej rangi) do czołowych przykładów zaliczane są właśnie radzieckie filmy — mimo że wszystkie te książki pisane są przez burżuazyjnych teoretyków. Szczegółowo sekwencję odeskich schodów z „Pancernika Potiomkina" opisuje Manvell, konkludując, iż jest to „najważniejsze sześć minut w historii filmu". Reisz w swojej „Technice montażu filmowego" analizuje sceny z eisensteinowskiego „Października". Finałowa sekwencja „Matki" Pudowkina jest „gwoździem" jednego z rozdziałów wydanej w ostatnich latach estetyki filmu Lindgrena. Dickinson analizuje „Linię generalną", Rotha sceny z „Ziemi" Dowżenki. Słowem klasyka, klasyka. „Wypisy" dla wszystkich szkół filmowych świata.

Twierdzenia burżuazyjnych krytyków, jakoby film radziecki przeżywał swój złoty okres wyłącznie w niemych latach, zwłaszcza kiedy u poczynania twórców nie ingerowali zbyt często przywódcy partyjni, trafiają w próżnię wobec faktów.

Nie jest powszechnie wiadome, że kiedy w latach trzydziestych Eisenstein powrócił z Ameryki po szeregu niepowodzeń, dzięki intrygom części zawistnego otoczenia usunięto go w cień i przez wiele lat reżyser ten zajmował się tylko pracą wykładowcy. Nie chciano mu powierzyć realizacji żadnego filmu uparcie twierdząc, że jego talent uległ wyjałowieniu. I dopiero osobista interwencja Józefa Stalina doprowadziła, że umożliwiono Eisensteinowi podjęcie realizacji znakomitego — jak się później okazało — „Aleksandra Newskiego".

Zresztą „Aleksander Newski" nie był odosobnionym dziełem, które zademonstrowało światu sprawność artystyczną radzieckich twórców. Nie można zapominać, że właśnie w pierwszym dziesięcioleciu kinematografii dźwiękowej ZSRR wykształciło się szereg nowych, nieznanych dotychczas rodzajów filmowych. Takim zupełnie nowym, który prędko zdobył sobie obywatelstwo jest powieść filmowa, powstała na skutek przejęcia przez realizatora filmowego pewnych cech i znamion utworu literackiego. Cechą charakterystyczną tego rodzaju były odstępstwa od sztywnej reguły konstrukcji dramatycznej na rzecz narracji zbliżonej do toku opowiadania czy powieści, gdzie autor pozwala sobie na refleksje osobiste czy opisowe nawiasy. Typową powieściową konstrukcją odznaczają się wśród filmów radzieckich omawianego okresu przede wszystkim dwie trylogie: o „Maksymie" i o „Gorkim". Podobną formę mają również obydwie serie „Piotra I".

Antytezą powieści filmowej jest dramat, którego świetnymi przedstawicielami będą „Chłopi" Ermlera czy „Delegat floty", „Czapajew" i „My z Kronsztadtu" — to dźwiękowa, pogłębiona kontynuacja utworów epickich typu „Potiomkina".

A „Miasto młodzieży", „Nauczyciel", „Górnicy", „Świniarka i pastuch", „Traktorzyści", „Świat się śmieje", „Wołga, Wołga" — czyż to filmy, które mówią o upadku filmu radzieckiego w latach trzydziestych? Czy to bogactwo tematyczne i rodzajowe to uwiąd artystyczny kinematografii? Przecież to są właśnie te świetne tradycje, do których nawiązuje bieżąco film radziecki i dzięki którym kinematografia ZSRR — jak to widzimy na festiwalowych ekranach — ma wszystko do wygrania. Ale o tych najnowszych filmach, filmach ostatniego Festiwalu już następnym razem.

Scena z filmu „Aleksander Newski"

Oto Maroko, kraj, który ze względu na swoje wyjątkowe położenie geograficzne u zbiegu wielkich wód morskich — Oceanu Atlantyckiego i morza Śródziemnego od dawna był przedmiotem rywalizacji wielkich mocarstw. Niemal wszystkie państwa europejskie rościły pretensje do terytorium Maroka, prawie wszystkie narzucały krajowi dyskryminacyjne umowy handlowe, traktaty : kapitulacje, zwłaszcza po podboju przez Francję Algeru i Tunisu. Najbardziej ożywioną działalność w tej dziedzinie przejawiała Francja, która od roku 1870 zagarniała kolejno oazy marokańskie leżące wzdłuż granicy Algeru. Ostateczny zabór Maroka został dokonany oficjalnie w roku 1912, kiedy to ogłoszono protektorat Francji. Akt ten nie oznaczał oczywiście, że w kraju zapanował spokój. Przeciwnie, przez blisko dwadzieścia lat po ustanowieniu protektoratu nie ustawały walki plemion berberyjskich; była to formalna wojna podjezdowa przeciwko administracji francuskiej.

Historia walk o hegomonię w Maroko, spór marokański na arenie międzynarodowej, rola wielkich mocarstw w rozstrzygnięciu kwestii marokańskiej dostarczają nam niebywale interesujących materiałów i wprost sensacyjnych wiadomości, jeżeli chodzi o interpretację przez państwa europejskie pojęcia tzw. „misji cywilizacyjnej" w krajach kolonialnych.

Mówiąc o historii podboju Maroka trzeba by było wiele powiedzieć o bohaterskich mieszkańcach Rifu, o powstaniu Abd-el-Krima, o rewolcie 1907 roku w Casablance, o pacyfikacjach kraju przez Legię Cudzoziemską, która odegrała tak sławetną rolę, o słynnej „epopei" marszałka Lyauteya, ale odłożymy to może na inny raz.

A obecnie jak przedstawia się właściwie sytuacja w Maroku?

Zanim o tym powiemy, musimy z góry stwierdzić, że nigdy chyba jeszcze prasa i radio kolonizatorów nie obciążyły swego sumienia taką ilością kłamstw i fałszywych informacji jak obecnie, podczas ostatnich wydarzeń w Maroku. Przede wszystkim trzeba obalić największe z kłamstw, a mianowicie to, że marokański ruch narodowo-wyzwoleńczy jest ruchem szowinistycznym, antyfrancuskim, niemal rasistowskim. Fakty wskazują, że naród marokański, poza tzw. kolaborantami rekrutującymi się spośród nielicznej grupy wielkich właścicieli ziemskich ze słynnym paszą Marakeszu El Glaoui na czele, jest jednomyślny, jeżeli chodzi o walkę o wolność i przygotowany na wszystko, aby ją zdobyć. Jest zdecydowanie wrogo nastawiony do swoich ciemiężycieli, ale potrafi odróżnić od nich lud francuski, którego prawdziwe uczucia zna dobrze. Warto przytoczyć tu słowa pewnej Marokanki, członkini Demokratycznego Związku Kobiet Maroka, która na zapytanie korespondenta francuskiego dziennika „Ce Soir" pana Payet-Burin o stosunku kobiet marokańskich do Francji powiedziała: „Innej drogi nie ma, pozostała nam tylko walka. My, kobiety Maroka, jesteśmy zdecydowane walczyć aż do końca, ponieważ nagromadziło się w nas zbyt wiele cierpień. Nasze dzieci chodzą bosą, nasi mężowie nie mogą otrzymać pracy, a my pracujemy całe dni, żeby zarobić dwieście franków. Uzyskanie niepodległości to sprawa całego naszego ludu. Wiemy, co naród Francji dla nas uczynił, wiemy, że żąda on zaprzestania walki z nami, wiemy, że dokerzy Marsylii odmówili załadunku broni wysyłanej przeciwko nam. Wyrażamy wam za to naszą wdzięczność".

Nie trudno zrozumieć, dlaczego Marokańczycy pragną niepodległości swego kraju. Przeszło czterdzieści lat istnienia protektoratu francuskiego przyniosło Marokańczykom likwidację jakiej takiej uprzedniej suwerenności, koncentracja władzy ustawodawczej i wykonawczej w rękach rezydenta generalnego, a w dziedzinie administracyjno-gospodarczej — wykluczenie ludności marokańskiej od udziału w kierowaniu gospodarką narodową, usunięcie ze wszystkich ważniejszych stanowisk i eksploatację bogactw naturalnych kraju. Rzecz prosta, w sytuacji wewnętrznej nic się nie zmieniło z chwilą zlikwidowania formy protektoratu i „dobrowolnego" przystąpienia Maroka do Unii Francuskiej stworzonej w roku 1946.

Sułtan, podlegli mu paszowie okręgów, kaidowie plemion berberyjsko-arabskich i szeikowie na wsi sprawują władzę tylko w teorii. W praktyce rządzą krajem urzędnicy francuscy w liczbie 42 tysięcy, wśród których znajduje się aż 15 tysięcy policjantów.

Najbardziej dochodowe kultury rolne są kontrolowane przez kapitał francuski: uprawa winnej latorośli w 100%, drzew cytrusowych w 75%, oliwek w 60%. Struktura ziemi wskazuje aż nadto wyraźnie na eksploatatorski charakter gospodarki kraju. Około 5 tysięcy osadników francuskich dysponuje 800 tysiącami hektarów najbardziej urodzajnej ziemi, podczas gdy 500 tys. chłopów marokańskich — fellahów posiada niecałe 3 mln. hektarów ziemi położonej w strefie pół pustynnej.

Bogactwa mineralne reprezentowane przez: fosfaty, mangan, kobalt, ołów, molybden, antracyt, miedź, cynk, żelazo, naftę i w ostatnich czasach odkryte pokłady złota w Dżebel Sargha są eksploatowane przez kilkanaście wielkich towarzystw z kapitałem mieszanym: francuskim, angielskim i amerykańskim (Mirabaud, Mallet, Rotszyld). Należą do nich: Standard Oil of Morocco, z kapitałem 20 mln dolarów, New Mount Mining Corporation, Société Nord - Africaine du Plomb, Société des Mines de Zellidża i in. W dziedzinie handlu monopolistyczne stanowisko zajmuje American Trade Association of Morocco, która opanowała 2/3 marokańskiego importu artykułów włókienniczych, cukru i herbaty będącej narodowym napojem Marokańczyków.

W czasie drugiej wojny światowej nastąpił silny przypływ amerykańskiego kapitału inwestycyjnego i spekulacyjnego. Rosnące wpływy amerykańskie w Maroku przejawiły się nie tylko w dziedzinie gospodarczej, ale również i w dziedzinie militarnej. Chodzi tu mianowicie o włączenie gospodarki marokańskiej w orbitę Paktu Atlantyckiego i o podporządkowanie wojskowym planom amerykańskim. O budowie wielkich lotnisk, o umacnianiu i rozbudowie stworzonych w czasie wojny baz lotniczych i morskich w Port Lyautey i w Ben Gérir, o układzie francusko-amerykańskim w sprawie umieszczenia w Maroko garnizonu składającego się z 35 tysięcy żołnierzy i przybycia do Maroka specjalistów technicznych, o tym wszystkim czytaliśmy i słyszeliśmy. Mało kto jednak wie o penetracji niemieckiej w Afryce północnej, o tzw. „Projekcie Atlaskim" polegającym na stworzeniu w górach Atlasu „nowego Zagłębia Ruhry", czyli przemysłu zbrojeniowego należącego do kapitału francusko-niemieckiego. Bez względu na stopień zaawansowania realizacji tego projektu nie można przejść nad nim do porządku dziennego, choćby z tego powodu, że pełnomocnikiem grupy przemysłowców zachodnio - niemieckich zaangażowanych w tę imprezę jest b. najmita hitlerowski. Skorzenny, działający obecnie w Hiszpanii oraz ze względu na fakt, że kilka miesięcy temu rozpoczęto w południowym Maroku w pobliżu granicy algerskiej próby z pociskami kierowanymi z ziemi.

W Maroko, znajdującym się przez długi czas pod zarządem wojskowym, istniały sprzyjające warunki dla rozwoju działalności politycznej. Przed drugą wojną światową ukonstytuował się Marokański Komitet Wykonawczy kierowany przez młodą inteligencję wykształconą na uniwersytetach egipskich. Po wojnie kierownictwo nad ruchem wyzwoleńczym mas pracujących i części postępowej inteligencji objęła partia komunistyczna powstała w 1945 r. (z sekretarzem Ali Yatą), oprócz której działają jeszcze burżuazyjna partia nacjonalistyczna „Al Istiqlal" założona w 1944 r. („Niezawisłość") z przewodniczącym Alaj el Fassi i „Demokratyczna partia niepodległości" z założycielem Hussan el Hazani. Wszystkie te partie postawiły sobie za cel obalenie kolonialnego panowania Francuzów i przywrócenie niepodległości Maroka.

W świetle powyższych wyjaśnień obraz wydarzeń w Maroko byłby dla nas jasny i wyraźny, gdyby chodziło tu tylko o walkę narodu o niepodległość, tak jak w dwóch innych krajach tzw. francuskiej Afryki Północnej: Algerze i Tunisie. Tymczasem jednak sytuację komplikuje, można by się wyrazić, „wątek dynastyczny", o czym powiemy za chwilę.

W tej chwili z terenu Maroka dochodzą nieprzerwanie alarmujące wiadomości o ciągłych starciach i walkach z policją i z tzw. „siłami porządkowanymi" (forces de l'ordre), o aktach gwałtów i represjach stosowanych wobec ludności, o masakrach w Casablance i Oued Zem, gdzie w ciągu jednego dnia rozstrzelano 3500 osób, o zamachach na francuskich funkcjonariuszy i urzędników.

To wszystko są konsekwencje polityki tak zwanej silnej ręki, którą stosowała Francja od dłuższego czasu. Działalność rezydentów generalnych: Francis Lacoste do czerwca br., następnie Gilbert Grandval (poprzednio ambasadora Francji w Saarze) i ostatnio generała Boyer de Latour nie przyczyniła się do poprawy sytuacji ze względu na raczej niezdecydowane stanowisko premiera Faure'a skrępowanego koniecznością liczenia się z posłami prawicowymi w łonie rządu francuskiego — zwolennikami zdławienia oporu Marokańczyków, ze względu na ekscesy francuskich ekstremistów i coraz bardziej zanikające tendencje ugodowe wśród reprezentatywnych ugrupowań politycznych Maroka.

Komitet Wykonawczy partii nacjonalistycznej Istiqlal oraz Demokratyczna Partia Niepodległości sformułowały swoje stanowiska wobec kryzysu marokańskiego i wydały komunikaty, w których żądają: natychmiastowego usunięcia sułtana Ben Arafy, niezwłocznego powrotu z wygnania sułtana Ben Youssefa, powołania rady tronowej i utworzenia rządu marokańskiego, przywrócenia całkowitej suwerenności Maroka, przeprowadzenia reform gospodarczych, społecznych i politycznych. Stanowisko to poparła Francuska Partia Komunistyczna w odezwie z sierpnia br.

Podczas rokowań francusko-marokańskich w ostatnich dniach sierpnia br. w Aix-les-Bains delegacja francuska ustaliła plan rozwiązania problemu marokańskiego na zasadzie „przywrócenia pokoju na bazie niepodległości Maroka w ramach ścisłego i trwałego zespolenia z Francją". Koncepcja rządu francuskiego przewiduje utworzenie rady regencyjnej, która po ustąpieniu sułtana Ben Arafy będzie sprawowała władzę do czasu powołania na tron konstytucyjnego sułtana oraz utworzenia nowego rządu marokańskiego.

Oprócz rozmów w Aix-les-Bains przedstawiciele rządu francuskiego: generał Catroux i pan Yrisson oraz wybitne osobistości świata politycznego Maroka przeprowadziły pertraktacje z b. sułtanem Maroka Ben Youssefem zdetronizowanym w sierpniu 1953 r. i przebywającym dotychczas na wygnaniu w miejscowości Antsirabe na Madagaskarze.

W rezultacie tych rozmów należy się spodziewać w najbliższych dniach przyjazdu do Francji Ben Youssefa.

Obecny układ sił w Maroko wydaje się przesądzać sprawę tych sporów dynastycznych i politycznych na niekorzyść obecnego sułtana, gdyż jest rzeczą niewątpliwą, że zmiany na tronie sułtańskim pragnie zdecydowana mniejszość społeczeństwa marokańskiego i postępowa opinia publiczna Francji. Obecny sułtan Sidi Mohammed Ben Arafa (stryj Ben Youssefa), to jednostka absolutnie nie wybitna, marionetka w rękach kolonizatorów francuskich, osadzona na tronie z ich pomocą i przy poparciu wielkiego feudała paszy Marakeszu El-Glaoui, człowiek już sędziwy, który natychmiast po objęciu władzy zgodził się na wszelkie przesunięcia i reakcyjne reformy, przed którymi Marokańczycy bronili się od wielu lat.

Sprawa wydawałaby się wyjaśniona, gdyby nie zdecydowany opór Ben Arafy, który przed paroma dniami oświadczył po raz drugi, że nie ma najmniejszego zamiaru ustępować. Trudny więc orzech do zgryzienia będzie miał minister do spraw Maroka i Tunisu p. July, który na poniedziałkowym posiedzeniu gabinetu francuskiego (12 września br.) oświadczył, że „rząd francuski podejmie natychmiast realizację swoich uchwał".

Danuta Paszkiewicz

Jerzy Olkiewicz — Berest

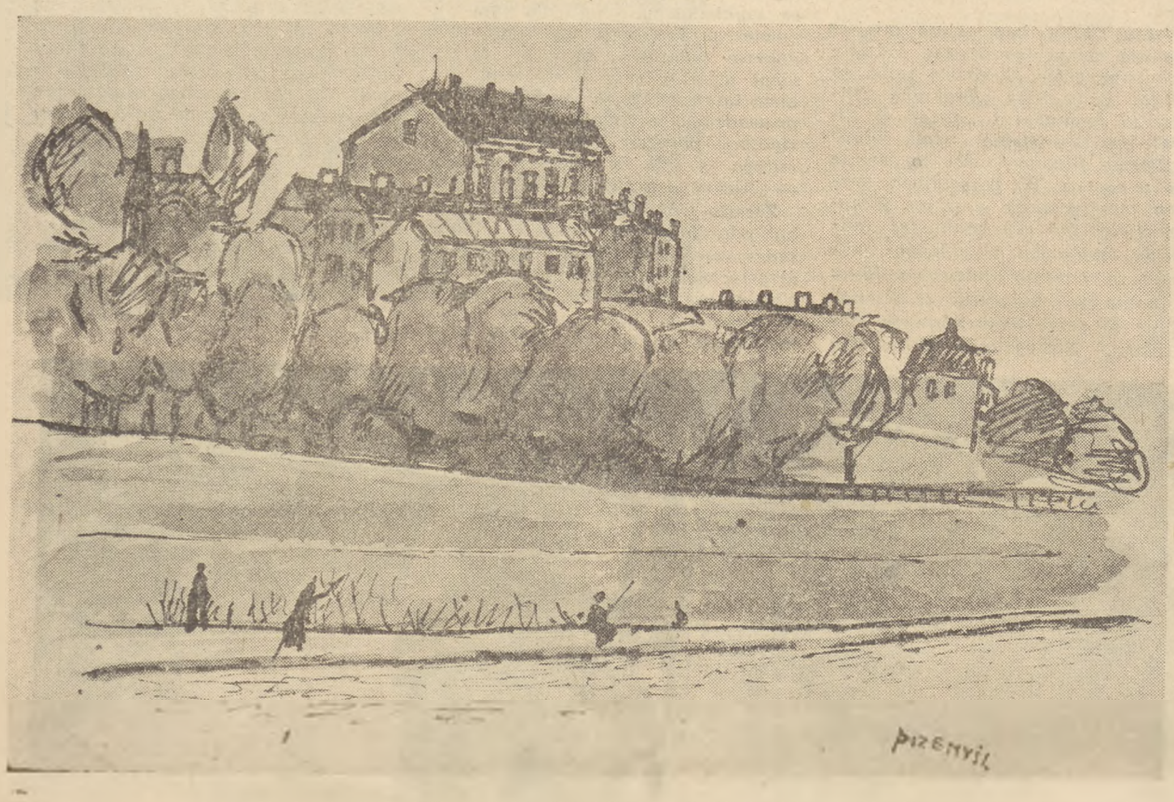

Roman Madeyski — Przemyśl

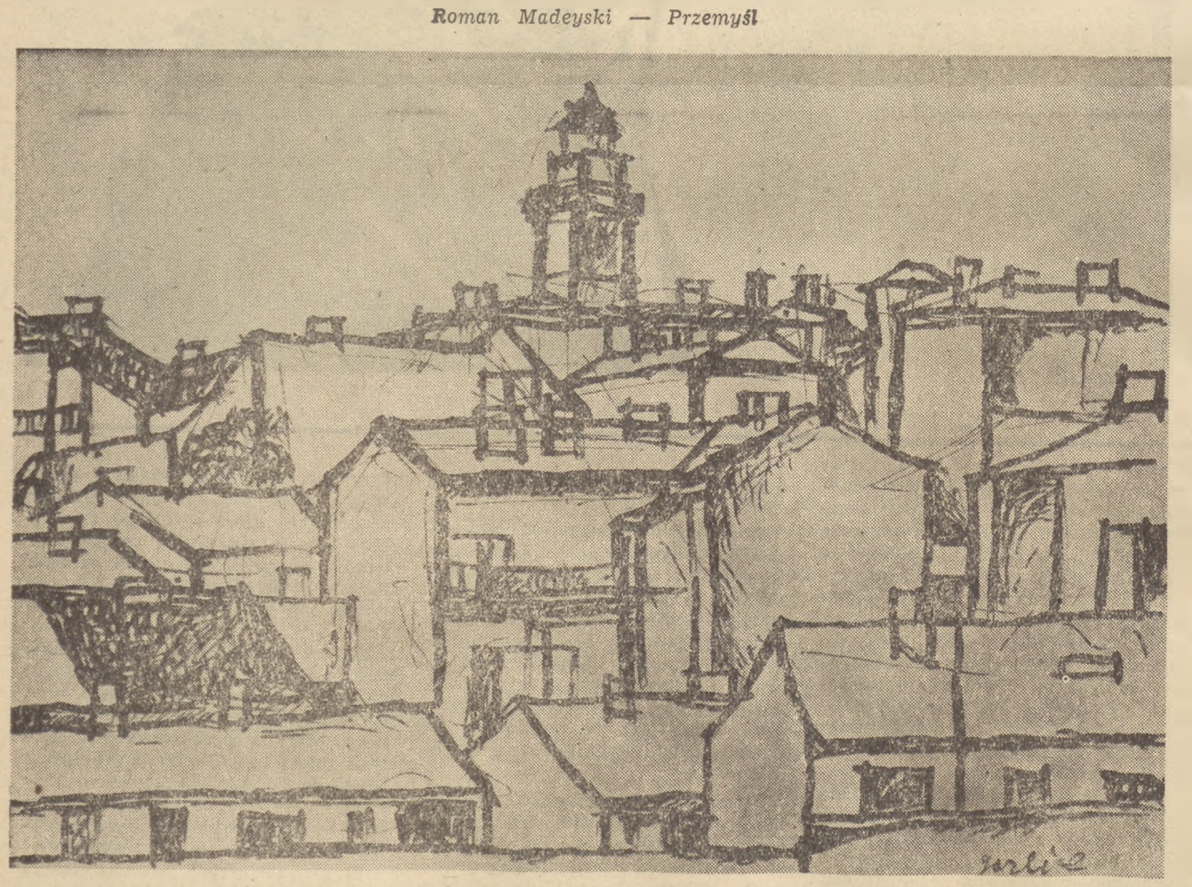

Jerzy Olkiewicz — Gorlice

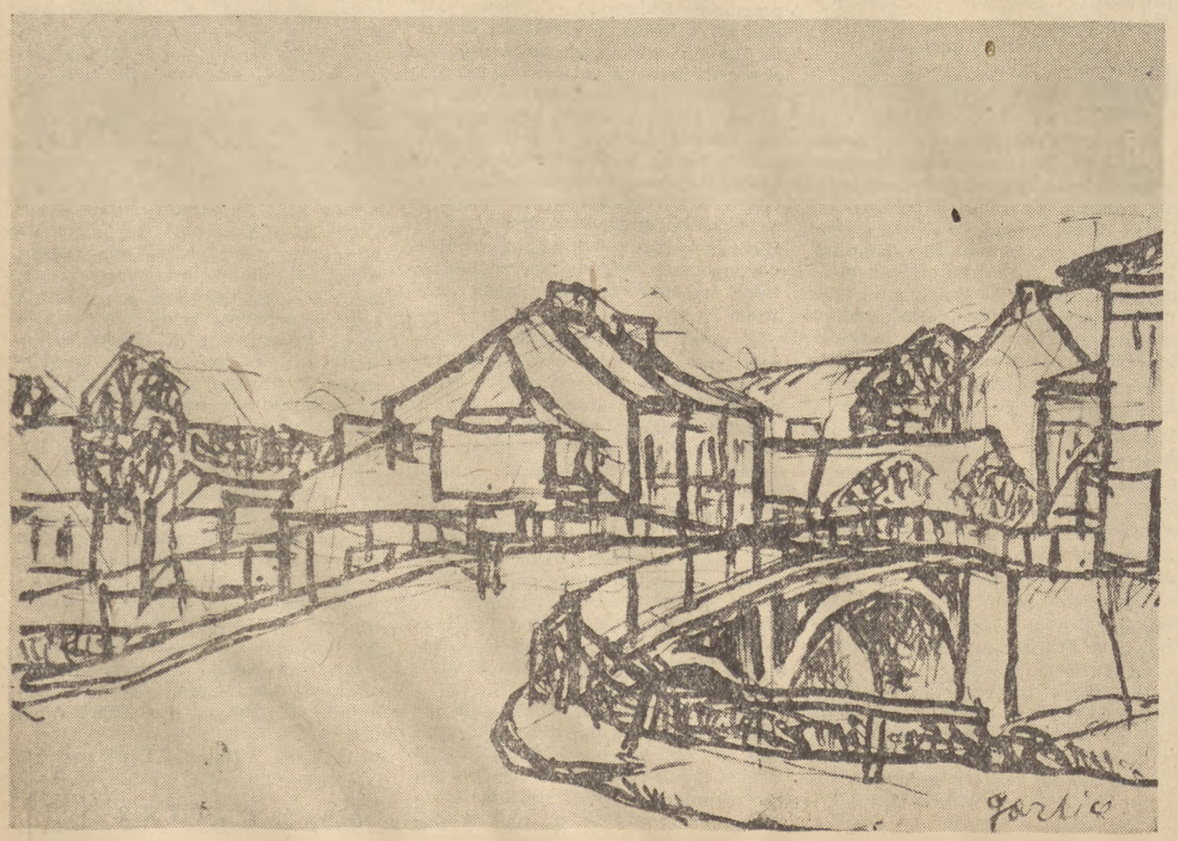

Jerzy Olkiewicz — Gorlice.

JERZY OLKIEWICZ

PARK I PLASTYKA

KIEDY się ogląda genialne rzeźby ludowe z południowo wschodniej Polski, tak świetnie eksponowane w tarnowskim Muzeum Diecezjalnym, wiejskie kościółki czy dekoracje chałup — prymitywne, ale wypływające z głębokiej potrzeby plastyki, czuje się zarazem podziw i smutek. Podziwia się tę sztukę świeżą i bezpośrednią; podziwia się instynkt plastyczny wykonawców. Smutna wydaje się dzisiejsza martwota i brak pełnego udziału sztuki w ich życiu.

Instynkt i potrzeba dekoracji zachowała się w jakiejś wypaczonej formie. W małomiasteczkowych gospodach często wszystkie ściany obwieszone są przedziwnymi bohomazami — produktami miejscowych dyletantów. Te „ręcznie malowane" obrazki — nie pozbawione pewnego specyficznego uroku, tak jak cała sztuka jarmarczna — są dalekim echem ludowej twórczości, wykolejonej i zepsutej miejskimi wpływami. Trzeba być tak jak Nikifor niezupełnie rozwiniętym, aby uchronić się od wpływów źle pojętej, naturalistycznej pseudodojrzałej sztuki. Kalectwo Nikifora jest jego największym nieszczęściem, ale zarazem przyczyną oryginalnego i ogromnie indywidualnego rozwoju jego malarstwa.

Nikifor jest wyjątkiem, ale młodych utalentowanych ludzi, którzy nie zawsze mają możliwości rozwoju, jest w ośrodkach wiejskich znacznie więcej. Są oni w sytuacji dość zawiłej i kłopotliwej. Mówi się często, że plastyków jest w Polsce za dużo. To jest na pewno nieprawdą. Nie jest za dużo plastyków, ale za mało dla nich pracy. Istnieją całe gałęzie naszej gospodarki, cały drobny przemysł, który, sądząc po jego produktach, bardzo zyskałby na współpracy odpowiednio przeszkolonych plastyków — estetyka wyrobów przemysłowych jest u nas w dalszym ciągu niska. Istnieje cała armia sprytnych amatorów, która — nie tylko na prowincji — dzięki znajomościom i zręczności wyłapuje plastyczne roboty. Ta armia cwaniaków jest prawdziwą plagą — dyletantyzm i obskurny, nie mający nic wspólnego z plastyką charakter ich „dzieł" — zeszpeca ściany domów (nieudolne, prymitywne panneaux o charakterze propagandowym na ulicach miast), ściany kościołów (jeden z przykładów: kościół w Tuchowie pod Tarnowem „udekorowany" ostatnio przez firmę Jan Piekarski z Krakowa), witryny sklepów (tu przykładów nie potrzeba, dobra dekoracja jest czymś wyjątkowym). Za dużo plastyków? Nie, Za dużo sprycjarzy i za mało energii i dobrej woli ze strony odpowiednich czynników, aby stan obecny polepszyć.

Zobaczmy, jak dotychczas usiłuje się zapobiec nadmiarowi bezrobotnych plastyków. W Jarosławiu istniało jedyne w województwie rzeszowskim Liceum Plastyczne. Liceum to było dobrze prowadzone, skupiało wielu młodych ludzi z całego województwa, a poziom ich prac z czasów studiów wykazuje, że liczni spośród nich to ludzie zdolni, którzy mają wszelkie dane, aby studiować na uczelni wyższej. W bieżącym roku szkolnym Liceum Plastyczne zostało przemienione na Kulturalno-Oświatowe, ku wielkiemu rozgoryczeniu wykładowców i młodzieży. Nikt nie zaprzecza potrzeby stworzenia Liceum K.-O., które ma szkolić przyszłych kierowników świetlic. Dlaczego jednak nie może ono istnieć równocześnie z plastycznym? Plastyka polska straci przez to kilku, a może kilkunastu zdolnych malarzy czy rzeźbiarzy, a szkolnictwo — kilku dotychczasowych wykładowców. Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie, ostatnia placówka plastyczna na terenie województwa rzeszowskiego, posiada charakter wyłącznie użytkowy i nie zastąpi tego braku.

Licea Plastyczne szkolą ludzi, którzy w przyszłości w swoich ośrodkach byliby propagatorami dobrej sztuki, zwalczali ignorancję i szmirę. Podobne cele nieco węższej i marginesowo pojęte mają ogniska plastyczne. Na tym polu dzieją się także dziwne rzeczy. Jedyne ognisko plastyczne istniejące na terenie województwa rzeszowskiego zostało zlikwidowane. Widocznie uznano, że plastyka jest zbędną dziedziną sztuki na tym terenie. Co na to mówi Ministerstwo Kultury i Sztuki? Niestety, w terenie słyszy się na Ministerstwo bardzo dużo narzekań. Czy nie czas uporządkować dotychczasową politykę?

Upowszechnianie kultury plastycznej w formie najbardziej popularnej i najszerzej pojętej — poprzez wystawy czy prelekcje, to zdawałoby się dziedzina, w której najprościej znaleźć jakieś racjonalne rozwiązanie. Wystawy objazdowe docierające do miejscowości odciętych od jakiegokolwiek życia kulturalnego byłyby pierwszym krokiem zbliżającym plastykę do odbiorcy. I na tym polu można jednak znaleźć nie tyle niedociągnięcia, co dość dziwnie pojętą popularyzację plastyki. Przed paru miesiącami po terenie województwa rzeszowskiego krążyła objazdowa wystawa reprodukcji obrazów Matejki. Wydaje się, że charakter prac Matejki — dość odległy od dzisiejszych, żywych problemów malarskich, charakter historyczny i niewspółczesny — nie wymaga tak dalekiej troski o popularyzację i zbliżenie, co sztuka pragnąca wyrażać zagadnienia współczesne. Obrazy Matejki czytelne, znane z bardzo licznych reprodukcji — począwszy od ilustracji w podręcznikach szkolnych — nie potrzebują komentarzy, żeby być zrozumiałe, a nie wyjaśniają zupełnie tego, o co walczy dzisiejsza plastyka. Zręcznie i atrakcyjnie urządzona wystawa tłumacząca podstawowe problemy bardziej współczesnego malarstwa byłaby na pewno potrzebna i korzystna.

Jednym ze stałych ognisk kultury na prowincji są muzea — wystawy w wypadku województwa rzeszowskiego docierają bardzo rzadko: w tym roku była tylko wystawa matejkowska. Niemal wszystkie muzea mają bardzo liczny napływ zwiedzających. W Rzeszowie. Łańcucie, Sanoku czy Jarosławiu — muzeum zwłaszcza w niedzielę staje się magnesem ściągającym setki ludzi. (Muzeum w Łańcucie, które w rocznym planie przewidywało 50 tysięcy zwiedzających, cyfrę tę poważnie przekroczy). Dziwna jest jednak organizacja tych muzeów. Dlaczego niektórymi opiekuje się PTTK, a nie Ministerstwo Kultury? Dlaczego jest wielu bezrobotnych młodych historyków sztuki, a nie ma dla nich etatu przy muzeach? Dlaczego z zasady, przynajmniej w miastach mniejszych nie ma oprowadzających, którzy by potrafili zwiedzającym udzielić jakichś fachowych wyjaśnień?

Muzeum w Łańcucie mieści się w wielkim pałacu Potockich. Pałac jest zresztą wcieleniem złego smaku — dzięki licznym i bardzo niedawnym przebudowom oraz meblom, rzeźbom i obrazom, które w większości są falsyfikatami. Mimo że brak w nim kilku najcenniejszych obrazów (przetrwały za to wszystkie niecenne) stanowi obiekt wart obejrzenia, mimo, a może przez to, że niektóre sale jak pawilon rzeźby, czy salon chiński — to największe w Polsce panoptikum. Muzeum w Łańcucie dopiero jednak przed trzema miesiącami uzyskało etat dla historyka sztuki. Czy to nie jest paradoks? Muzeum, które ściąga tysiące ludzi, pozostawało bez fachowej opieki, a historycy sztuki nie mają pracy. A historyków sztuki jest za dużo.

Pałac w Łańcucie to chyba najbardziej dziwaczny obiekt w województwie rzeszowskim. Dzięki wkładowi pracy obecnego dyrektora, który chcąc zaprowadzić porządek na terenie muzeum i wielkiego parku, musiał pokonać niejedną trudność (m. in. został kilkakrotnie pobity przez miejscowych chuliganów dewastujących piękny park), otoczenie pałacu jest wzroowo utrzymane, a w samym budynku przeprowadza się remonty. Dziwaczna jest jednak, a często zupełnie bezsensowna mieszanina na terenie muzeum przedmiotów zupełnie bezwartościowych i śmiesznych z obiektami wartymi konserwacji i opieki. Brak fachowej selekcji i uważnej oceny wszystkich znajdujących się w pałacu przedmiotów jest wynikiem niedbalstwa ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki. Skutek jest taki, że zwiedzający wynoszą z muzeum dziwne wrażenia. Ponieważ przypuszczają, że wszystko, co się tam znajduje, jest piękne i wartościowe, a do niedawna nie było nikogo kto by ich z tego błędu wyprowadził — największy zachwyt i poparcie dla własnych kryteriów smaku i sztuki — budzą w nich sale i przedmioty najbardziej ohydne (a takie niestety są również udostępnione zwiedzającym). Czy to jest właściwy sposób upowszechniania kultury i dobrej plastyki? Niedbalstwo wyraża się też w sposobie użytkowania pomieszczeń pałacu i dużej biblioteki. Na całym drugim piętrze umeblowanym falsyfikatami stylowych mebli można by przecież urządzić jakiś dom wypoczynkowy dla pracowników sztuki. Z biblioteki wychodzi się z płaczem. W wielkich szafach pozamykanych na wielkie klucze spoczywają i marnują się ogromne ilości świetnych książek, z których nikt nie korzysta. Przez zakratowane szybki widać grzbiety wydawnictw, które często w naszym kraju są zupełnie niedostępne, a bardzo poszukiwane. Taka ignoracja jest zupełnie śmieszna.

Mimo to Łańcut uczy wielu rzeczy. Uczy, że dzięki usilnej i upartej pracy osiągnąć można świetne rezultaty. Dyrektor muzeum, który w ciągu dwóch lat osiągnął to, że park znajdujący się w stanie zupełnego zaniedbania dziś jest wzorowo utrzymany; że ludzie dawniej tratujący kwiaty, dzisiaj nie depczą trawników, które nawet nie są ogrodzone, człowiek ten w najbardziej prosty i powszechny sposób uczący podstaw kultury — który tę kulturę najbardziej dosłownie upowszechnia — to świetny przykład. Przykład wartości inicjatywy i energii ludzi na prowincji — marnującej się zawsze wtedy, gdy nie ma odgórnego poparcia. Może to przesada, ale wydaje się, że czysty park to pierwszy krok w upowszechnianiu plastyki.

Jerzy Olkiewicz

Roman Madeyski — Ciężkowice